

Finek



JAN GRABOWSKI

Finek

I

Dzidzia była chora. Dokuczał jej złośliwy ból w kolanie. Lekarz uprzedzał rodziców Dzidzi, państwa Rosochackich, że choroba potrwa dłużej. Zalecał bezwzględny spokój. I Dzidzia wiedziała dobrze, że będzie musiała długo, długo leżeć w łóżku.

Czy kto z was lubi chorować? Czy komukolwiek z was wypadło leżeć w łóżku długie, długie, tak strasznie długie tygodnie?

Boże, co to za nuda! Prawda?

Godziny wloką się i wloką. Dnie wydłużają się tak, że się zdaje, iż nigdy się nie skończą! Niczym porządnym zająć się nie można. Bo jak tu na przykład bawić się w pociąg i jechać koleją do cioci w odwiedziny?

Każdy wie, że do takiej jazdy potrzebna jest paka. Lub chociażby krzesło. Ale jechać na łóżku to bardzo trudno, prawie niepodobna.

Dzidzia próbowała wprawdzie robić z łóżka pociąg. Sapała jak lokomotywa. Ale gdy tylko zaczęła podskakiwać na materacu, w takt sapania (każdy wie, że wagon trzęsie), natychmiast mama wołała z drugiego pokoju:

— Dzidziu, leż spokojnie, kochanie! Nie wolno ci skakać ani poruszać chorą nogą!

I rób co chcesz! Trzeba było leżeć spokojnie i ani się poruszyć. Dzidzia próbowała czytać, bo już czytać umiała. Ale czyż można cały dzień patrzeć na litery? Zresztą bardzo trudno o tak ciekawą książkę, która zajęłaby na długo, bardzo długo, na całe tygodnie, prawda?

Kiedyś wpadła Dzidzi do rąk ciekawa książeczka. Była to opowieść o małej dziewczynce, sierotce, opuszczonej przez wszystkich. Jedynym jej przyjacielem i nieodstępnym towarzyszem był piesek Wiernuś. Psina nie opuszczała nigdy swej małej pani. Wyświadczała jej tysiączne przysługi, ogrzewała własnym ciałem, broniła.

Dziewczynka z bajki była samotna, ale czuła się na świecie dobrze, zupełnie dobrze. Miała przecież oddane sobie, poczciwe psie serce, swego Wiernusia.

Powiastrka ta wywarła na Dzidzi wielkie wrażenie. Poczęła ona rozmyślać nad dziejami sierotki z bajki. Porównywała siebie do tej opuszczonej przez wszystkich dziewczynki. I choć ani sierotą, ani opuszczoną nie była, uznała, że pomiędzy losami jej, Dzidzi, a dziewczynki z bajki zachodzi wielkie podobieństwo. Obydwie są jednakowo samotne.

Czasem, gdy ojca nie było w domu, a matka i Katarzyna zajęte były w kuchni, wyobrażała sobie wtedy, że jest noc. I ciemno. Bardzo ciemno. Zupełnie ciemno. Nawet latarnie się nie palą! A ona, Dzidzia, błąka się ulicami wielkiego miasta sama, samiutka!

— Żeby tak mieć psa! Małego pieska! Choćby nawet nie tak mądrego jak Wiernuś! — wzdychała.

I rozmyślała nad tym, ile to szczęścia, ile uciechy mieć można, posiadając psa! Małe szczeniátko! Takie wesołe, figlarne! Które można pieścić! Z którym można się bawić!

Postanowiła sobie, że musi mieć pieska. Wiedziała jednak, że nie przyjdzie to łatwo.

Słyszała, że pan Rosochacki mówił nieraz:

— Po co skazywać biedne stworzenia na ciągłe przebywanie w mieszkaniu? Gdybyśmy nie mieszkali w Warszawie, to co innego. Ale trzymać psa tu, w tej kamienicy? Na tym podwóreczku małym, ciemnym jak dno studni? Za bardzo lubię psy, żebym je miał skazywać na taką niewolę!

Choroba, Nuda

Samotność, Książka

Pies, Miasto

Dzidzia знаła swego ojca. Wiedziała, że byle go serdecznie poprosić, to można od niego uzyskać wiele, bardzo wiele.

Spodziewała się więc, że może teraz właśnie, gdy jest chora, kiedy musi tak długo leżeć w łóżku, jej kochany ojczulek ulegnie łatwiej prośbom swej małej, chorej dziewczuszki.

Postanowiła spróbować. A nuż się uda? A nuż ojczulek się zgodzi! I Dzidzia będzie miała pieska, własnego małego psiaka. To dopiero będzie uciecha!

II

Któregoś poobiedzia pan Rosochacki siedział koło łóżka Dzidzi. Dziewczynka rozejrzała się po pokoju. Westchnęła i powiada:

— Czy nie uważasz, ojczulku, że u nas jest pusto w mieszkaniu?! I tak jakoś bardzo smutno?

Ojciec spojrzął na Dzidzię, pogładził ją po głowie.

— Pewnie Krakowianka skarżyła ci się po cichu, że jej się nudzi i że rada by mieć jeszcze jedną lalkę za towarzyszkę?

— Nie, ojczulku! — zaprzeczyła żywo Dzidzia. — Ja teraz nawet nie rozmawiam z Krakowianką!

— Pogniewałyście się? O co?

— Nie! — zaprzeczyła żywo Dzidzia. — Ja ją zawsze bardzo, bardzo lubię. Tylko ja teraz myślę, ciągle myślę...

— No, proszę! O czym tak ciągle myślisz, dziecino?

— Jakby to było dobrze, gdyby tu, u nas, był ktoś żywy! Naprawdę żywy! Nie tak na niby jak Krakowianka albo inne lalki. Tak bym chciała mieć kogoś, z kim można by się bawić! Naprawdę bawić! Chciałabym, żeby ten ktoś żył, biegał, skakał!

Ojciec spojrzął na Dzidzię. Dziewuszka patrzyła mu w oczy bardzo przymilnie.

— Któż to ma skakać koło ciebie? Może żaba, co? — spytał.

— Fe! Któż by tam myślał o żabie! — obruszyła się Dzidzia.

— No, więc o czym myślisz? — dopytywał się pan Rosochacki.

Dzidzia uniosła się na łóżku. Objęła ojca za szyję mocno, mocno. Pocałowała. Nachyliła się do ojcowego ucha. I szepnęła:

— Proszę! Bardzo proszę o małego pieska!

Ojciec, zdziwiony, odsunął ją nieco od siebie. Dzidzia zaczęła mówić szybko, nie dając dojść ojcu do słowa:

— Wielki, dorosły pies, taki na przykład jak Lord pana pułkownika, no, to co innego! Taki pies zanudza się w mieszkaniu! Nawet w tak wielkim mieszkaniu jak pana pułkownika Buczackiego. Zaraz widać, że Lord się nudzi, bo ma zapłakane oczy i sapie. Ale małe szczeniátko? Takie zupełnie malutkie? Niewiele co większe od małego kociątka? Taki piesek w naszym mieszkaniu będzie się czuł znakomicie! Będzie w nim błędził jak w lesie!

Naprawdę, ojczulku! Trzeba będzie dobrze uważać, żeby się gdzie nie zgubił!

Ojciec słuchał tego, co mówiła Dzidzia, i milczał. Nie odpowiedział nic. Pocałował ją tylko w głowę i poszedł.

Tego dnia Dzidzia nie widziała już ojca, bo zaraz po rozmowie z nią wyjechał na kilka dni do Poznania.

Przez czas nieobecności pana Rosochackiego dziewczynka nie przestawała myśleć o piesku.

Ojciec wprawdzie nie przyobiecał jej psa. Ale też nie odmówił stanowczo. Dzidzia miała nadzieję, że może ojciec przywiezie jej małego psiaka jako gościnnie¹ z Poznania. Kto to wie?

Na wszelki wypadek rozmyślała nad tym, jak nazwać nowego przyjaciela. Przeglądała w myśli wszystkie swoje zabawki. Zastanawiała się nad zmianami, jakie trzeba będzie zaprowadzić. Postanowiła, że Krakowianka ustąpi pieskowi łóżka i będzie spała w łubianym² pudełku. Pucek, kosmaty niedźwiadek, przestanie się wylegiwać na puchowym piernaciku, który był starą poduszką podróżną mamy Dzidzi. Odstąpi on swoją pościel

¹gościnnie — tu: prezent przywieziony z podróży. [przypis edytorski]

²lubiany a. lubowy — wykonany z kory drzewa (w dawnej polszczyźnie zwanej: *lub*); por. *lubianka*: prostokątny koszyk wykonany z cienkich pasów kory. [przypis edytorski]

na poduszkę dla szczeniątka, które się będzie nazywało... No, rozumie się, że będzie się nazywało Wiernuś, jak piesek z bajki!

A jeżeli ojciec pieska nie przywiezie?

O tym Dzidzia nawet myśleć nie chciała.

III

Pan Rosochacki miał w Poznaniu wiele spraw do załatwienia. Nic dziwnego więc, że na razie zapomniał o rozmowie z Dzidzią. Dopiero w przeddzień wyjazdu przypomniał sobie, że Dzidzia prosiła go o pieska. Chciał zrobić przyjemność chorej córce i postanowił postarać się w Poznaniu o szczenię.

Namyślał się tylko, jaki piesek sprawi małej największą radość. Rozważał wady i zalety różnych ras i doszedł do przeświadczenia, że najlepszy będzie mały foksik³. Wiadomo powszechnie, że spośród wszystkich psich ras foksy są najweselsze i zawsze gotowe do figlów.

Ale gdzie tu szukać psa w takim wielkim, a prawie nieznanym mieście jak Poznań?

Pan Rosochacki zwrócił się do portiera w hotelu, w którym zamieszkał, i prosił go o pomoc.

— Chcę mieć foksa. Innego psa, choćby był najładniejszy, nie kupię. Jeżeli pan wie o jakim małym rasowym foksiu, proszę, niech mi pan jutro rano przyprowadzi szczenię do hotelu! — zapowiedział.

Portier kiwnął głową na znak, że zrozumiał.

— Kto by tam chciał innego psa, proszę pana! Foks — to foks. Każdy wie, że to najładniejszy pies. Ja sam, co prawda, nie mam foksa na sprzedaż. Ale mojej stryjecznej siostry ciotka ma takie foksy, że ładniejszych na całym świecie nie znajdzie. To są dopiero foksy! Powiem jej, to ona jutro rano przyprowadzi panu swoje pieski — oznajmił ojcu Dzidzi.

Oprócz hotelowego portiera pan Rosochacki prosił jeszcze kilku stołowych w cukierniach i restauracjach o pomoc. Wszyscy, do kogo tylko ojciec Dzidzi się zwracał, oświadczyli, że wiedzą o najpiękniejszych na świecie fokсах. I że jutro właściciele tych cudowności bezwzględnie stawią się z psami w hotelu.

Rankiem następnego dnia obudził pana Rosochackiego hałas piekielny! Uszy puchły od tego zgiełku i wrzasku!

Na hotelowym korytarzu, tuż pod drzwiami pokoju, w którym mieszkał ojciec Dzidzi, słychać było wściekle warczenie, naszczekiwanie, targanie się, pisk!

Odzywały się głuche basy rosnących brytanów i cienkie, jazgotliwe ciawkanie małych psiaków! Wycia rozpaczliwie smutne, to znów wesole szczekania!

Drzwi od sąsiednich pokoi otwierały się raz po raz! Ktoś wyrzekał głośno na porządku w hotelu! Ktoś inny wołał o rachunek! I żądał, by zabrano jego rzeczy! Bo się natychmiast wyprowadza! Jakiś głos dopominał się o policję! A jakaś dama wzywała wojska, konieczne wojska, które by te wściekle psy usunęły z hotelu!

Pan Rosochacki wyjrzał na korytarz. I oniemiał!

Tuż u jego drzwi kłębiło się, szczekało, piszczalo, wyło kilkanaście psów najróżniejszego wzrostu i wyglądu! Były tam kundle wielkie jak cielęta, psiska wielkości barana, mniejsze, większe, małe! I zupełny psi drobiazg!

Najmniejszy ze wszystkich był rudy, kosmaty pinczerek. Widać głęboko wziął on sobie do serca przymusową podróż do hotelu. Bo rozparł się szeroko przednimi nogami, podwinął ogon pod siebie, odrzucił wysoko głowę i wył tak przeraźliwie, jakby kto nożem skrobał po szkle.

Pomiędzy tyloma psami nie było jednak ani jednego, który by choć z daleka przypominał foksa.

— Ludzie, a coście wy tu za menażerię⁴ sprowadzili?! — zawołał zdumiony pan Rosochacki.

— Proszę pana, to nie menażeria, tylko psy! — odpowiedział, nieco urażony, jeden ze stojących. I wypchnął przed siebie olbrzymie psisko, szczerzące kły jak noże. — Mój

³foksik — foksterier, jedna z ras psów. [przypis edytorski]

⁴menażeria — miejsce, w którym są trzymane zwierzęta na pokaz. [przypis edytorski]

Kuc nie jest wprawdzie foks czystej rasy, ale za to co to za pies! Jaki on ma charakter! Nikomu nie pozwoli się pogłaskać — chwalił swojego brytana.

— Ja tu mam pieska dla pana! — zawołał właściciel wyjącego pinczerka. — To specjal, nie pies!

— Ależ ja chcę foksa! To jest pinczer, nie foksi! — tłumaczył zniecierpliwiony pan Rosochacki.

— Pinczer? A któż mówi, że Żółka jest foksi? Ale to jest nadzwyczajny pies! Co to za serce! O byle co wyje, takie to czule! — rozwodził się właściciel pinczerka.

Pan Rosochacki nie słuchał już więcej. Zatrzasnął drzwi. Zadzwoił na służbę i kazał powiedzieć wszystkim psiarzom, by sobie natychmiast poszli.

Chwilę jeszcze trwał głośny rejwach⁵ na korytarzu. Wreszcie psie wrzaski poczęły się oddalać i cichnąć.

Pan Rosochacki odetchnął z ulgą.

Ranna awantura z psami zraziła ojca Dzidzi do dalszych poszukiwań.

Postanowił nie kupować szczenięcia dla Dzidzi. Zapowiedział też stanowczo służbie hotelowej, aby oświadczone każdemu, kto przyprowadziłby psa na sprzedaż, że nie kupi foksa ani brytana, ani pinczerka, ani w ogóle jakiegokolwiek psa, choćby był najpiękniejszy i najbardziej rasowy!

IV

Przed samym wieczorem pan Rosochacki wracał do hotelu. Sprawy, jakie miał załatwić, zatrzymały go na jeden dzień jeszcze w Poznaniu. Dopiero nazajutrz wieczorem miał wyjechać do Warszawy.

Przechodząc przez Wały usiadł na ławce.

Po chwili na tej samej ławce usiadł jakiś chłopczyna. Wyjął on z kieszeni kawałek chleba i nóż. Kroił chleb na kromki. Wyjadał miększą, a skórki drobnił na małe kawałeczki. Składał je do torby, którą trzymał na kolanach.

— Dla kogo chowasz te skórki? — spytał chłopca ojciec Dzidzi, zaciekawiony tym, co robił jego sąsiad.

— Dla Plotuchy — odpowiedział chłopiec. — Rozmoczy się to we wrzółku, dosypie soli. A gdy wystygnie, podje sobie psina! Ona teraz musi więcej jeść, bo ma małe.

— Tak? A czy to duży pies ta twoja Plotucha?

— Tyciusia, maluchna, ot taka! — pokazał chłopiec. — Ale stróż! No, no! A mądra jak człowiek. Wszystko rozumie, co się do niej mówi.

— I dużo ma szczeniąt?

— Miała sześć, ale zostały tylko dwa.

— Ładne?

— Phi, czy ładne! Chyba nawet od Ploty ładniejsze.

— Macie je na sprzedaż? — zapytał pan Rosochacki.

— Trzeba je będzie sprzedać! — odpowiedział markotnie chłopiec. — Aż mi się nie chce o tym myśleć! Takie zmartwienie dla Ploty!

— Kupiłbym może jedno. Rozumie się, jeżeli szczenięta są naprawdę ładne! — powiedział pan Rosochacki.

— Pan? — zdziwił się chłopiec i zaczął się bacznie przyglądać ojcu Dzidzi. — A czy pan psu krzywdy nie zrobi? — spytał i ciągnął dalej: — Bo pies to jak człowiek, proszę pana. Jak z nim dobrze, to pies dobry. Ale broń Boże bić albo się znęcać! Zaraz robi się zły! I głupi! I już taki pies nic niewart!

— No, no, nie bój się! — uspokoił go pan Rosochacki. — Nikt u mnie psa nie ukrzywdzi. Przyjdź jutro w południe na tę samą ławkę. Przynieś pieska ze sobą. A wybierz tego, który jest według ciebie lepszy i ładniejszy. Przyjdziesz?

— Przyjdę, proszę pana, przyjdę — przyrzekł chłopiec. — Ale, panie...

— Co?

— Proszę pana, pan Plotczyńskich dzieci nie ukrzywdzi? Prawda? Ręka?

I wyciągnął rączynę. Pan Rosochacki uściśnął serdecznie dłoń malca.

⁵rejwach — hałas. [przypis edytorski]

— Bądź pewien, chłopcze — powiedział poważnie — że twojej psinie w moim domu nic złego się nie stanie!

V

Nazajutrz o umówionej porze ojciec Dwidzi był na Wałach. Zdziwiło go, że na ławce, na której spodziewał się zastać chłopca ze szczeniętami, zobaczył kilka osób. Rozmawiały one żywo ze sobą i stanowiły najwidoczniej jedno towarzystwo.

— Jak się masz, chłopcze! — powiedział zbliżając się pan Rosochacki. — Masz psa?

— Mam, proszę pana. Są tu w koszyku! A to jest ich matka, Plotka — mówił chłopiec i wskazał na białą psinę. — Siedzi ona pomiędzy moim bratem i siostrą, Witkiem i Hala. A to jest mój dziadek i moja babka — opowiadał dalej wskazując na dwoje staruszków.

Trzymali oni pomiędzy sobą kosz, w którym prawdopodobnie były szczenięta.

— A, to pan? Muniek, to pan chce kupić pieska? — spytał dziadek chłopca, nadstawiając dłoń koło ucha, by lepiej słyszeć.

— Tak, dziadku — odpowiedział Muniek.

— Pan łaskawy zapewne się dziwi, że nas tu tyle przyszło — zaczęła babka Muńka. — Ale u nas pies to jak człowiek, bez niczyjej urazy. Chcieliśmy wszyscy poznać pana, w czyje ręce nasze psiaki oddajemy. A którego pan wybierze? Bo są dwa. Jednego się psie figle trzymają. Za to drugi...

— Beks! — zawołał dziadek. — Finek to zuch, będzie z niego stróż. A tamten...

— Phi! Kto będzie miał Finka, będzie miał hałas w domu! Ale kto będzie miał Bielaska, to ho, ho! — odparła nieco urażona babka.

— Będzie miał skowyt i wycie! — odpowiedział zgryźliwie dziadek.

— Pozwólcie mi państwo najpierw zobaczyć pieski! — powiedział pan Rosochacki z uśmiechem, bo bawiła go sprzeczka staruszków. — Muńku, pokaż mi szczenięta!

— Trzymajcie Plotę! — zawołał Muniek do rodzeństwa. Witek i Hala objęli Plotę za szyję. Muniek postawił koszyk na ziemi. Odsunął wieczko. Cmoknął.

Z koszyka wysunął się kłębuszek waty, upstrzony trzema czarnymi plamkami. Kłębek ten obrócił się w jedną stronę, w drugą, zachybotał, uniósł się nieco w górę. I nagle biała kula potoczyła się wprost przed siebie. A przebierała przy tym szybko nóżkami, sztywnymi jak drewnianka.

Z tej kuli sterczał mały, śmieszny ogonek. Ogonek ten w biegu majtał się ciężko na obydwie strony. Zdawało się, że nie głowa, nie spłaszczony, rozdęty brzuszek, ale właśnie ów ogon, wielkości ogarka papierosa, jest z całego ciała najcięższy i najwięcej przy chodzeniu sprawia szczenięciu kłopotu.

Psina usiadła tak niespodziewanie, jak przed chwilą nie wiadomo dlaczego ruszyła przed siebie. Obejrzała się dokoła. Szczeknęła tak głośno, jakby kto w palce klasnął. Zakręciła się na miejscu. I nagle podrałowała⁶ wprost przed siebie!

— Sprytna szelma! Jak to wyrywa! — zawołał dziadek Muńka, bardzo zadowolony.

— To mi dopiero spryt! Pędzi nie wiadomo gdzie i po co? — odparła babcia i wzruszyła ramionami.

Pan Rosochacki schwycił małego zbiega za skórę na karku. Podniósł go wysoko. Szczeniátko patrzyło na ojca Dwidzi wcale⁷ ciekawie niebieskimi, mętnymi paciorkami oczu. Ledwie było widać te zabawne ślepki spod kosmyków białej wełnki, pokrywającej całe ciało. Oprócz, rozumie się, brzuszka różowego, okrągłego, a wydętego tak, że zdawało się, iż pęknie lada chwila.

— Ładny! Prawda, panie, że ładny? — dopytywał się dziadek.

— Muniek, podaj panu Bielaska! — zawołała babka. — To dopiero brylant nie pies!

Muniek sięgnął po drugie szczeniátko.

Małeństwo leżało zrazu plackiem, na brzuszku, zupełnie nieruchomo. Po chwili siadło, podniosło mały łebek do góry i zapiszczało boleśnie.

Widocznie wielki, a nieznanym światem przerażony małego Bielaska. Postanowił tedy za wszelką cenę powrócić do kosza. Zaczął więc obiegać koszyk w kółko. Węszył, wspinał się, zaglądał do środka. Stukał, którądy można by się dostać do kosza. Bo, najwidoczniej,

⁶podrałować — pobiec. [przypis edytorski]

⁷wcale — całkiem, zupełnie. [przypis edytorski]

tylko tam czuł się bezpiecznie. Nie znalazł drogi do schronu, więc siadł na ziemi. I zrozpaczony zapłakał w głos! A jęczał i mazał się, jakby mu się nie wiadomo jaka krzywda stała!

Panu Rosochackiemu obydwą szczeniaki bardzo się podobały. A jeszcze bardziej ujęła go cała rodzina Muńka, tak bardzo i serdecznie żyta ze zwierzętami. Postanowił też kupić jedno z maleństw. Ale które?

Nie chciał wybierać. Gdyby Bielaskowi dał pierwszeństwo nad Finkiem, uraziłby dziadka. Jeżeliby wybrał Finka, babka Muńka czułaby się dotknięta do żywego.

— Dziś wieczorem wyjeżdżam do Warszawy. Biorę jednego pieska. Sam wybierz, Muńku, tego, którego mi chcesz dać, i przynieś mi go wprost na stację. Dobrze? — powiedział pan Rosochacki.

Umówił się o cenę. Poprosił, aby kupione szczenię przyniesiono koniecznie w koszyku. Ukłonił się i poszedł.

Odchodząc spojrzął na ławkę. Oboje staruszkowie rozmawiali żywo. Najwidoczniej już teraz omawiali pomiędzy sobą sprawę, który z piesków ma jechać do Warszawy. No i nie mogli się pogodzić.

„To się Dzidzia ucieszy! — myślał, idąc do hotelu pan Rosochacki. — Przywiozę jej pieska! Takiego gościńca moja dziewczuszka się nie spodziewa!”

Czy tak było naprawdę?

Dzidzia, oczywiście, nie była zupełnie pewna, czy ojciec przywiezie jej pieska. Spodziewała się jednak, że prawdopodobnie będzie miała swojego Wiernusia.

Na wszelki wypadek łóżko Krakowianki, wyłożone piernatem Pucka, oczekiwało już na gościa. A największy półmisek z serwisu, darowanego ongi Dzidzi przez stryja Tadeusza, stał obok łóżka.

Półmisek był wprawdzie nadtluczony porządnie z jednego brzegu. Ale za to miał złoty rąbek i cały zamalowany był w różyczki.

Czy komu może się nie podobać taki okazały, wyzłocony i ukwiecony półmisek? Czyż nie będzie wszystko lepiej Wiernusowi na takim cudzie w kwiatki smakowało?

W każdym bądź razie będzie on z tego pięknego półmiska jadł chętniej niż na przykład z takiej wielkiej kamiennej miski jak ta, z której karmią Lorda!

VI

W poczekalni na dworcu pan Rosochacki rozglądał się na wszystkie strony. Nigdzie Muńka nie było widać.

„Czyżby się rozmyślili i w ogóle nie chcieli sprzedać szczeniąt? Może staruszkowie nie mogli się zdecydować na wybór?” — myślał ojciec Dzidzi, nierad, że wróci do domu bez tak upragnionego przez córkę podarunku. Już wsiadał do wagonu, a tu ktoś schwycił go za ramię. Obejrzał się. Przed nim stał Muniek z koszykiem.

— Byłem pewien, że już nie przyjdiesz, chłopcze — powiedział pan Rosochacki.

— Ach, proszę pana! Czy pan myśli, że to łatwo rozstać się z tym, co się kocha? Spóźniłem się trochę, bo zanim psy dostały jeść, zanim się wyspały, trochę czasu upłynęło. No i trzeba się było z nimi pożegnać. A to najtrudniej. O, widzi pan, tam za oknem jest Plot! I dziadkowie! I Hala! I Witek! Wszyscyśmy przyszli nasze psy odprowadzić!

Pan Rosochacki spojrzął w okno wagonu. Zobaczył cztery twarze przywarte do szyby i wpatrzone w koszyk.

— No, a któregoś wybrał, Bielaska czy Finka? — zapytał chłopca.

— Są obydwą — odpowiedział Muniek.

— Obydwą? — zdziwił się pan Rosochacki.

— A tak. Uradziliśmy wszyscy, że tak będzie najlepiej. Obu im będzie różniej na nowym miejscu. A zresztą! Którego tu wybrać? Obydwą ładne. A dziadkowie do ostatniej chwili nie mogli się zgodzić na to, który ma jechać, a który zostać. Psom będzie dobrze, prawda? Biedna Plotucha, jej najgorzej! — szepnął chłopczyna, wepchnął do rąk panu Rosochackiemu koszyk i pobiegł szybko w stronę wyjścia.

Pociąg miał ruszyć lada chwila. Pan Rosochacki rozejrzał się po półkach. Postawił koszyk ze szczeniętami na jakimś pudełku. Usiadł i zaczął rozmyślać nad tym, jaką niespodziankę sprawi Dzidzi! Przywiezie jej przecież aż dwa pieski!

Dar

Rozstanie, Miłość

Co prawda od razu postanowił, że zaraz po przyjeździe pozbędzie się jednego szczenięcia. Boć przecież niepodobna trzymać aż dwa psy w ciasnym mieszkaniu na czwartym piętrze — prawda?

VII

Przedział wagonu, w którym jechał pan Rosochacki, pełen był podróżnych. Siedziano tak ciasno, że trudno się było poruszyć.

Na półkach też pełno było rzeczy. Walizki, pudła, pudełka sięgały aż pod sufit wagonu. Tuż nad głową pana Rosochackiego na półce leżała wielka waliza skórzana. Na niej sakwojaż⁸. Obok niego pudełko lubiane. Na nim wielkie pudło od kapelusza. Dopiero na tym pudle stał koszyk ze szczeniakami.

Obok pana Rosochackiego siedziała jakaś zażywna⁹ dama w jasnej bluzce. Pani ta najwidoczniej bardzo była znużona. Niezadługo po wyjeździe z Poznania kiwnęła się ona raz, kiwnęła drugi i zasnęła na dobre. Zdrzemnął się też i ojciec Dzidzi.

Obudził go ostry krzyk sąsiadki:

— Co to jest! Boże mój! A to co?

Dama w bluzce zerwała się na równe nogi. Poderwał się też i pan Rosochacki. Inni podróżni, zbudzeni z niespokojnej drzemki w wagonie, otworzyli szeroko oczy. Jakaś pani, siedząca przy oknie, krzyknęła:

— Katastrofa! Pociąg się wykoleił!

Jakiś usłużny pan gotów był pociągnąć za sygnał alarmowy!

Nagle sąsiadka ojca Dzidzi odskoczyła od ławki tak gwałtownie, że aż siadła na kolana jakiemuś panu naprzeciwko, i zawołała:

— Ależ tu się coś leje! Leje coś czerwonego, śliskiego!

— Krew! — wrzasnął chudy jegomość, ten, który poprzednio chciał zatrzymać pociąg.

Rozepchnął wszystkich, wypadł na korytarz. I tyle go widzieli!

— Gdzie się leje, proszę pani? — spytał ojciec Dzidzi.

— Tu! Tu! Z tej torby! Czy z tego pudełka od kapelusza! — odpowiedziała wystraszona dama i wskazała na leżące na półce ponad jej siedzeniem pakunki.

— Z mojego kapelusza nic się nie leje! Bo kapelusz nie śnieg! Z gorąca się nie topi! — wykrztusiła ze złością jakaś dama, do której najwidoczniej należało pudełko.

— Jezus, Maria! — zawołała nagle. — A cóż tam stoi na moim kapeluszu? Któż to wozi pomidory w koszyku na taki upał? Kapelusz mi się na nic zniszczy! Wziąć mi zaraz to paskudztwo! Czyj to koszyk?

— Mój, proszę państwa! — odpowiedział ojciec Dzidzi. — Ale niech się państwo uspokoją! W tym koszyku nie ma pomidorów!

— Co mi pan tu będzie opowiadał! Są pomidory! Przecież nie jestem ślepa! I widzę! Jeżeli to nie są pomidory, to co to jest?! — zawołała dama w białej bluzce i podsunęła do oczu pana Rosochackiego chusteczkę, którą wycierała plamy na ubraniu.

— Przekonam was, moi państwo, że się mylicie! — powiedział ojciec Dzidzi i sięgnął po koszyk.

Dotknął ręką pudła z kapeluszem! I natychmiast przekonał się, niestety, że damy się nie myliły!

Cały wierzch pudełka zalewała zupa pomidorowa!

Prerażony, schwycił za koszyk. Postawił go w przejściu. Odsunął wieko. I... oniemiał ze zdziwienia!

Obydwa pieski wyglądały jak raki po ugotowaniu! Tak wysmarowane były pomidorowym sosem!

Pan Rosochacki podniósł jednego do góry! Na dnie koszyka dojrzał sporą salaterkę, a w niej drugiego psa oklejonego makaronem! Wszyscy podróżni tak samo byli zdumieni tym, co zobaczyli, jak ojciec Dzidzi. Nikt nie mógł pojąć, czemu w salaterce z zupą pomidorową siedzą dwa żywe pieski jak kluski?

⁸sakwojaż (z fr.) — torba podróżna. [przypis edytorski]

⁹zażywna — dobrze zbudowana. [przypis edytorski]

Aż tu właścicielka kapelusza dojrzała kawałek papieru. Przyczepiony on był do wieczka koszyka z wewnętrznej strony. — Może na tej kartce będzie jakieś wyjaśnienie! — powiedziała.

Pan Rosochacki zdarł kartkę. Spojrzał na nią.

Wielkimi literami jakaś niezupełnie wprawna ręka, zapewne Muńka, napisała:

Bielasek lubi makaron, a Finek pomidory.

Tym najlepiej karmić. Na drogę mają dość.

Możecie sobie łatwo wyobrazić, jak pan Rosochacki był rad z tego, że Muniek tak serdecznie dbał o to, żeby się pieski w drodze nie wygłodziły!

Musiał przeproszać i panią z kapeluszem, i panią w bluzce! Ścierać plamy! A tu kto żył z pasażerów wymawiał mu jeszcze, że takie małe pieski więzi w koszyku! Użalano się nad nimi, gładzono je, pieszczono.

Niedługo jednak trwał ten zachwyty podróży nad pieskami. Bielasek zaczął płaczliwie piszczeć i nie chciał się utulić! Finek czmychnął pod ławkę! I trzeba go było szukać zagubionego pomiędzy rurami, którymi ogrzewają wagony! Wyciągnąć zza ręcznych torebek! Gonić po korytarzu!

Pan Rosochacki przez resztę nocy nie mógł zmrużyć oczu. Tym bardziej że psiaki, zapakowane nareszcie do koszyka, piszczały i płakały, a tak boleśnie, że nawet konduktor się nad nimi użalał. I radził wziąć psy na kolana. Na kolana? Ani gadania! Bo zaraz Finek zsuwał się na podłogę i wyruszał w podróż na własną rękę. I trzeba go było szukać po całym przedziale.

Zmęczony, niewyspany ojciec Dzidzi zamknął w Warszawie szczenięta szczelnie w koszyku i zawiózł je co prędzej z dworca do domu.

W ten sposób Finek zjawił się w domu państwa Rosochackich.

VIII

Co się działo gdy koszyk z pieskami znalazł się tuż przy łóżku Dzidzi! Czy warto o tym pisać? Przecież tak łatwo to sobie wyobrazić!

Tym więcej było radości i uciechy, że lekarz pozwolił Dzidzi przejść z łóżka na fotel. Mogła więc siedząc przyglądać się psikom, które zaraz po wyjściu z koszyka rozpoczęły zaznajamiać się z nowym mieszkaniem.

Finek wytoczył się z koszyka! I zaczął natychmiast starannie badać podłogę.

Z noskiem przy ziemi krążył tu i tam po pokoju. Obiegł dokoła nogi fotela, na którym siedziała Dzidzia. Przysiadł na chwilę. Później jak strzała puścił się przed siebie. Prosto w to miejsce, gdzie połyskiwała na podłodze plama słoneczna! Po drodze natrafił na frędzle dywanu, który leżał pod stołem. Zaplątał się w nie. Usiadł. I pomrukując gniewnie, zaczął targać za róg dywanu. A czynił to z takim wysiłkiem, że co chwila przewracał się na ziemię.

Walka z dywanem nie zajęła go jednak na dłużej.

Świat jest tak wielki i tyle w nim rzeczy ciekawych!

Finek ujrzał przed sobą coś wielkiego, coś potwornego, sterczącego wprost z podłogi. Zbliżył się. Powąchał ostrożnie. Obszedł dokoła. Szczeknął raz i drugi na nogę stołu. I poszedł dalej.

A pędził szybko! Węszył zawzięcie! Bo szedł smugą jakiegoś mocnego zapachu! Bardzo ciekawego zapachu! Takiego zapachu nie wąchał dotąd nigdy!

Pędząc tak uderzył łebkiem w coś wielkiego, miękkiego, coś, co cofnęło się od uderzenia. Niespodziewane to spotkanie tak zastanowiło Finka, że siadł. Kręcił główką to w jedną, to w drugą stronę. I przyglądał się spod oka olbrzymiemu potworowi, który zastąpił mu drogę. Potoczył się on po podłodze najpierw dość szybko, jakby spłoszony. Później sunął coraz wolniej. Aż wreszcie zatrzymał się w miejscu.

„Aha! Ucieka! Boi się!” — pomyślał Finek.

I skoczył naprzód! Obskakiwał wroga dokoła, a poszczekiwał przy tym groźnie i przypadał do ziemi.

Potwór ani drgnął. Wówczas Finek ostrożniutko wysunął naprzód czarny nosek. Zaciągnął się zapachem raz i drugi.

Radość, Szczęście

Pies

Walka, Zabawa

— Co to może być? — zastanawiał się. — Ze wszystkich stron pachnie jednako-
wo! A tak dziwnie, że aż w nosie kręci! Nie ma ogona ani głowy! Nie widać też łapek!
Zobaczmy, czy to jest gładkie, czy też włochate.

Przysunął nos do potwora i trącił go lekko. Potwór się cofnął.

— Boi się? Boi! Gonić go! Gonić! — szczechnął Finek i skoczył ku nieznanemu stra-
szydłu.

Bił go łapką! Popychał noskiem! Rzucił się z wrzaskiem na straszego, a pokonanego
przez siebie wroga! Uciekał on zresztą przed Finkiem, aż się kurzyło.

Bo tym wrogiem była piłka Dzidzi.

W pogoni za piłką Finek wpadł za otomanę¹⁰. Dostał się w ciemny, długi korytarz
pomiędzy tyłem otomany a ścianą. Spacer wzdłuż tego korytarza bardzo mu się podobał.
Przebiegł więc kilkakrotnie tam i z powrotem. A nie chcąc wracać poprzednią drogą,
przesunął się pod dnem sofy.

Wypadł na pokój. Podskoczył. Szczechnął. Trafił znów na dywan. Siadł. Kiwnął się raz
w przód, raz w tył. Położył. Podwinął nóżki pod siebie. I natychmiast zasnął jak kamień.

Bielasek poczynął sobie całkiem inaczej.

Nie myślał on o jakichkolwiek podróżach! Ani mu w głowie były jakiekolwiek wypra-
wy do nieznanych krain! Przeciwnie! Olbrzymi pokój wypełniony nieznanymi meblami,
zapachy obce i jakieś niesamowite — wszystko to napawało go strachem. Najchętniej
schowałby się z powrotem do koszyka! Nie pragnął nic widzieć! Nie chciał czuć tego
dziwnego świata, w którym się znalazł! Nowe zapachy nic go nie obchodziły!

Lecz koszyk był zbyt wysoki! Nie tak to łatwo było się doń wdrapać z powrotem!

Na próżno się wspinał, podreptywał na tylnych nóżkach! Na próżno jękliwie i żałośnie
prosił, by brzeg koszyka zniżył się do niego!

Zniechęciły go wreszcie te próżne wysiłki. Usiadł więc i rozejrzał się. Dostrzegł tuż
blisko obok siebie pudełko lubiane. Dzidzia chowała w tym pudle zabawki. Ostrożniutko
podsunął się ku temu pudłu. Przypomniało mu ono paczkę drewnianą. Kochaną, miłą,
dobrze znaną paczkę! Sypiał w niej z matką i Finkiem!

Obszedł pudełko dokoła, nawołując to Plotę, to brata. Nikt mu jednak nie odpo-
wiała. Bielasek uczył się nagle bardzo samotny! Wydawało mu się, że się zabłąkał na
wielkim przestworzu obcego świata! Przestał też nagle krążyć koło pudła. Siadł na pod-
łodze. Zapłakał z cicha. Zawył. I oddał się najczarniejszej rozpacz!

Plakał tak żałośnie, tak przenikliwie, tak się łzawo rozwodził nad swoim losem, że
słuchać nie można było!

Dzidzia wzięła go na ręce. Pociągnął kilka razy zapłakany noskiem. Jęknął boleśnie
raz i drugi! Ale coraz już ciszej. Wsunął wreszcie nos tam, gdzie z uchylonej kołdry
zrobiła się faldą. I zasnął. Ale jeszcze przez sen wzdychał. I od czasu do czasu pojękiwał
żałośliwie.

IX

Nietrudno się domyślić, że pomidory z makaronem niezupełnie się nadają do utrzymania
w czystości psich skórek ani też nie przyczyniają się do eleganckiego wyglądu przyzwoitych
piesków!

Nic też dziwnego, że trzeba było i Finka, i Bielaska poddać przykrej, ale koniecznej
operacji czyszczenia, mycia, czesania, żeby je doprowadzić do jakiego takiego znośnego
wyglądu.

Szczenięta były za małe, żeby je można było kąpać. W każdym bądź razie należało je
jako tako obmyć.

No i wyczesać pozlepiane kudelki.

Rozdrobniono więc nieco mydła w ciepłej wodzie.

Dzidzia postanowiła, że Finek pójdzie na pierwszy ogień i że on przejdzie najpierw
udręki toalety.

Wyciągnięto Finka spod stołu. Dzidzia położyła go na rozłożonym na kolanach ręcz-
niku. Gałgankiem, umoczonym w ciepłej wodzie mydlanej, zaczęła myć jego kudelki.
Finek znosił to zrazu wcale spokojnie.

¹⁰otomana — sofa. [przypis edytorski]

Dopiero gdy woda z mydłem dotarła do pyszczka, do nosa, wdarła mu się do ślepek, Finek zaczął się wyrwać, parskać, kichać. Uznał on wreszcie, że tego rodzaju zabiegi koło jego osoby są dla niego wysoce obraźliwe. Warknął też raz, drugi. Próbował nawet szczerząc z całej siły. Targnął. Wyrwał się z rąk Dzidzi. Stoczył się z kolan, spadł na podłogę, jęknął. Otrząsnął się. Podwinął pod siebie ogonek. I umykał, jak mógł najdalej!

Mama Dzidzi chciała go podnieść i wytrzeć ręcznikiem. Finek nastroszył się, wyszczerzył zęby i warczał tak groźnie, jak tylko umiał.

— Odejdź, bo zjem! — straszył panią Rosochacką.

— Chodź, mały, chodź — odpowiedziała na te groźby wcale niezagniewana mama Dzidzi, podniosła go z ziemi i otuliła ręcznikiem.

Finek nie przestawał warczeć. Z wewnątrz ręcznika słychać było gniewne bulgotanie jak z imbryka, gdy woda w nim wre.

Wytarty, położony na poduszkę Pucka, Finek zasnął jak kamień. Najwidoczniej cała operacja mycia wyczerpała go i zmęczyła.

Bielasek, polany wodą, od razu zapłakał rzewnie. I nie przestawał płakać. Mazał się i mazał!

Po myciu należała się psom przekąska. Pólmisek, który Dzidzia przeznaczyła w myśli na talerzyk dla Wiernusia, był za mały dla dwu pensjonariuszy. Rozdrobioną bułkę, polaną mlekiem, podano więc pieskom na spodeczku. Postawiono tuż obok poduszki, na której oba spały.

Pierwszy poczuł zapach mleka Finek. Podniósł głowę. Pociągnął noskiem. Usiadł. Znow pociągnął kilka razy noskiem. I nagle, jak kula, potoczył się wprost ku spodeczkowi!

Jadł żarłocznie. Główkę wsunął głęboko, w sam środek spodka. Przednie nóżki rozparł szeroko. Tylnymi wykonywał zabawne podrygi. Odbijał się od podłogi tak, że parę razy stał tylko na głowie i przednich nóżkach jak sztukmistrz w cyrku!

W parę chwil po nim zerwał się Bielasek. Potoczył się za bratem. Wpuścił głowę w spodek. I jadł, jak mógł najprędzej. Starał się odejść to, co Finek przedtem zdążył spałaszować, nie czekając na niego.

Już wyglądało puste dno spodka. Czerwone ozorki piesków lizaly teraz resztki mleka z zawrotną szybkością.

Finek, który dotąd zdawał się nie dostrzegać brata, zerknął zezem na Bielaska. I warknął cicho a groźnie.

Bielasek skurczył się, przysiadł. Ale nie przestawał pracować zawzięcie językiem!

Finek obruszył się na takie lekceważenie grzecznej przestrogi. Złapał też Bielaska za ucho. Bielasek pisnął, odskoczył! I, obrażony, potoczył się boczkami ku poduszce.

A Finek wylizal spodek do czysta. Toczył jeszcze czas jakiś pustym spodkiem po podłodze, aż dzwoniło. Siadł wreszcie. Zwalił napęczniały brzuszek na lewą tylną nogę. I różowym języczkiem ze smakiem i z powagą zlizywał z pyszczka resztki mleka. Bielisko się ono wielkimi kroplami na bródce, ściekało po piersiach i ginęło w puszystej wełnie.

„Podjadł sobie pies, trzeba się wziąć do roboty” — pomyślał.

I w lansadach¹¹, mając wesoło ogonkiem, pobiegł na wyprawę.

Chodziło o zbadanie wielkiej tajemnicy ciemnej plamy cienia za fotelem. A przede wszystkim o poznanie obyczajów strasznego zwierza, który czaił się zdradziecko z dywanu.

Był to pantofel Dzidzi!

X

Czas mijał szybko. Obydwa psiaki czuły się teraz w mieszkaniu państwa Rosochackich jak u siebie w domu.

Pełno ich było wszędzie!

Finek gryzł wszystko, czego dosięgnął. Targał dywan i walczył z grzebieniem potwora, czyli frędzlami tego dywanu. Walczył tak skutecznie, że w niespełna dwa tygodnie po przybyciu piesków grzebień potwora jakby nie istniał. Zamiast równych dokoła frędzli z dywanu sterczały tu i ówdzie tylko nitki samotne, postrzępione, do połowy wydarte!

Dostało się też nogom krzesel!

¹¹w lansadach — w podskokach. [przypis edytorski]

Nad zwykle jednak drewniane, gładko toczone nogi przekładał on bardziej interesujące — nogi mebli koszykowych! Nie były one takie nudne, takie obojętne i sztywne! Tak rozkosznie chrupała w zębach wiklina! Tak zabawnie wywlekały się paski drzewne, sprężyste, jędrne, żywe! Umiały one zadrapać! A nieraz uszczypnąć porządnie za język czy wargi!

Choć meble w ogóle ani się mogły równać z pantoflami!

Pantofel — to dopiero jest coś!

Stoi sobie taki zwierz, jakby nigdy nic. Otwiera paszczę szeroko, niby ziewa. I ani drgnie! Ale wystarczy go chwycić i szarpnąć! Wtedy krzyknie krótko a dziwnie! Czasem znów tak głośno, że dech zapiera ze strachu! I trzeba odskoczyć kilka kroków! Nie z obawy! O, nigdy! Ale tak sobie! Na wszelki wypadek!

Gdy się raz dobrze schwyci taki pantofel z wierzchu, wtedy można już nie zważać na te zabawne klaskania, jakie z siebie wydaje! Można włóczyć go po całym mieszkaniu! Można wreszcie położyć się na takim pokonanym pantoflu gdzieś w kącie. I spokojnie go pogryzać. Od strony warg, gdzie jest miękcej! I od spodu, gdzie pantofel jest wprawdzie łykowaty, ale za to dziwnie mile drażni dziąsła! Sama rozkosz!

Zupełnie inna jest książka! Dziwne to zwierzę! Jak leży spokojnie, to niby nigdy nic! Ale szarpnąć tylko! A szczególnie powłóczyć po podłodze! Wydaje wtedy klaskanie podobne do pantofla! A co za zabawną ma sierść! Biała jest, twarda i da się wrywać całymi kłakami. Trzeba tylko przewrócić zwierzątko na wznak. Wówczas łatwo dorwać się do wełny! Można wtedy rwać całym pyszczkiem! Tylko trzeba się nie bać zabawnego szurania. Zawsze je słyszać, kiedy się odrywa sierść książki od skóry!

Ale najzabawniejsza ze wszystkiego jest pończocha. Coś przedziwnego taka pończocha! Pachnie to wyraźnie człowiekiem! Niby niepodobna się omylić, że to człowiek! A jednak pończocha człowiekiem nie jest!

Finek miał dość niemile doświadczenie z pończochą. Nie lubił też tych wspomnień. Tym bardziej że przykrość najzupełniej, oczywiście, niezasłużona spotkała go ze strony matki Dzidzi. A lubił on bardzo panią Rosochacką za łakocie, jakie mu dawała.

Z tą pończochą to było tak.

Dzidzia czuła się już o tyle lepiej, że wstawała z łóżka i chodziła po pokoju.

Pewnego wieczoru rozbierała się i układała rzeczy na krzeselku koło łóżka. Nie zauważyła, że jedna z jej pończoszek zsunęła się i stopa prawie dotykała podłogi.

Zauważył to natomiast Finek, jak tylko rano otworzył oczy!

Dostrzegł on, że z krzeselka zwiesza się jakaś brunatna smuga!

Zerwał się więc z poduszki. I ostrożniutko, to podbiegając naprzód, to cofając się kilka kroków na wszelki wypadek wstecz, zaczął się zbliżać do nieznanego przedmiotu.

Już był tak blisko, że mógł schwycić zapach. Pociągnął więc raz i drugi, unosząc łebek do góry.

Wąchał, wąchał! I nie wierzył sam sobie! Podeszedł bliżej! Zaciągnął się zapachem raz jeszcze. I aż przysiadł ze zdumienia!

Brunatna smuga była stanowczo jego panienką! Dzidzia! Przynajmniej na pewno pachniała tak jak ta dziewczynka, która karmiła go, pieściła, była jego panią!

Już więc bez obawy zbliżył się do pończoszki. Szturchnął w nią noskiem. Pończocha zachowała się jednak zupełnie inaczej niż noga panienki, którą Finek znał tak dokładnie. Odskoczył. Przypadł do ziemi. Pomyślał, że noga w pończosze wyprawia figle niezrozumiałe, ale bardzo zabawne!

Jednak noga panienki, pomimo figlarnych szczekań i zachęcających obiegań, ani drgnęła. Zdumiał się tym Finek. Zaczął podejrzewać, że się pomylił. Jeszcze więc raz przysunął się do pończoszki. I obwąchał ją starannie.

„To jest na pewno panienka! — myślał. — To jasne! Muszę ją znaleźć! Na pewno jest gdzieś w środku!” — powiedział sobie.

I zaczął wewnątrz pończochy szukać Dzidzi!

Odgryzał kęs po kęsie. Zgryzł palce. Pociął ostrymi ząbkami piętę. Szukał panienki poza piętą. Aż ściągnął pończochę na ziemię. Wtedy gryzł ją tak, że z pończoszki została tylko obrączka u samej góry, pętka i kłębki bawełny, rozwleczone po całym pokoju! Panienki w pończosze nie było!

Zabawa, Pies

Książka

Finek tak się zajął tą badawczą pracą, że ani się spostrzegł, jak pani Rosochacka chwyciła go za kark! Podniosła go do góry! Wyrwała mu z pyszczka resztki pończochy! Obrąła go z nici, w które się omotał!

I płaską dłonią raz, drugi, trzeci zwróciła psu uwagę na to, że zupełnie niewłaściwie poszukuje Dzidzi wewnątrz pończoski! Boć przecież każdy widzi, że jego panienka śpi na łóżku!

— Aj, aj, aj! — wołał Finek wyrrywając się rozpaczliwie. — Nie bić! Już wiem wszystko! To jest fałszywa noga panienki! Odkłada ją ona na krzesło, gdy idzie spać! Tak! Tak! Dość!

Wyrwał się. Jak oparzony skoczył w stronę kuchni! Bęcnął po drodze głową o drzwi, aż huknęło! Wpadł za pakę z węglami! I przycupnął w ciemności. No i powiedzcie sami, ile to pies naciерpieć się musi, zanim jako tako pozna na własnej skórze, że pończocha to tylko pończocha i nic więcej!

XI

Finek po tej przeprawie siedział parę chwil bez ruchu. Był rad, że się ukrył tak znakomicie i że mu nic nie grozi.

Po chwili otworzył jednak oczy. Rozejrzył się po swojej kryjówce.

Na razie nie dostrzegł nic godnego uwagi. Ciemno, pusto, nie ma nawet gałgana, który by można z nudów poszarpać trochę!

Przyczołgał się do końca kufra. I nagle przypadł do ziemi. Tym razem ze zdziwienia i strachu.

Tuż przed nim leżało jakies przedziwne zwierzę! Całe pokryte było wełną połyskliwie stalowego koloru!

Zwierz ów zachowywał się na pozór zupełnie spokojnie. Nie poruszał się. Nie machał ogonem. A może nawet nie miał ogona?

Finek przyczołgał się blisko do zwierza. Pociągnął noskiem. Potwora czuć było podłoga! Najwidoczniej był to stwór stale przebywający na podłodze. Pies zaciągnął się zapachem jeszcze raz! Na pewno podłoga!

„Bierzmy się do niego!” — pomyślał i już był gotów do walki.

Ale Finek nie miał zwyczaju zniecka napadać na nieprzygotowanego wroga. Ani też podchodzić kogokolwiek zdradziecko. Odstąpił więc kilka kroków. I szczechnął. Nic. Szczechnął drugi raz. Zwierz się nawet nie poruszył.

Ha, jeżeli tak, to co innego!

Finek uczynił wszystko, co szlachetny napastnik winien wrogowi, prawda? Nie czekał więc dłużej, tylko od razu rzucił się naprzód. Chwycił smoka za kudły! Wpił się w ostrą sierść! Targnął!

Potwór nie bronił się. Pokrzykiwał tylko zabawnie w takt każdego natarcia. A klaskało coś przy tym dziwnie i bardzo podobnie do pantofla.

Nie był to jednak na pewno pantofel! Każdy wie, że targany pantofel wyprawia skoki i można go włóczyć za sobą. Potwór, szarpany przez Finka, pozwalał się wprowadzić targać, ale ani myśleć o włóczeniu. Ba, nawet z miejsca trudno go było ruszyć!

Finek postanowił wziąć się ostro do uparciucha. Szczechnął groźnie dla postrachu! Wżarł mu się całym pyszczkiem w kudły. I rwał! I targał! A warczał przy tym najstraszniej, jak umiał!

— Finek! Finek! Pójdiesz precz od szczotki! Wszystkie włosy powyrywa ten szczeniak utrapiony! — krzyknęła tuż nad rozżartym psem Katarzyna.

Katarzyna, daleka krewna państwa Rosochackich, mieszkała razem z nimi i zajmowała się wspólnym gospodarstwem.

Zwyczajski Finek odbył podróż napowietrzną zza skrzyni przez całą kuchnię! Aż do końca korytarza prowadzącego do pokoju!

I tam właśnie wyrwał się wreszcie Katarzynie. Nie oglądając się za siebie podbiegł w te pędy do Bielaska. Spał on swoim obyczajem na poduszce.

Finek miał wielką ochotę opowiedzieć bratu o swojej przygodzie. Choć z góry był przygotowany na to, że Bielasek go nie zrozumie. Nie oceni nawet jego odwagi! Wiadomo! Płaksa i lizus!

Potwór, Walka

Ale Finek tak się chciał komukolwiek zwierzyć ze swej przygody, a może nawet nią pochwalić, że postanowił brata obudzić. Wszedł więc bez ceremonii na poduszkę. Rozłożył się na niej tak, że zepchnął Bielaska na twardą i zimną podłogę.

— Ojej, zimno mi, zimno! Finek mnie zrzucił z poduszki! — mazał się obudzony tak gwałtownie Bielasek.

— Cicho bądź! Ty bekso! Nie przeszkadzaj! Muszę wydłubać z zębów resztki potwora, którego przed chwilą pożarłem! — powiedział dumnie Finek.

Podniósł łebek do góry i wypluwał szczecinę. Wypychał ją językiem i pomagał sobie przy tym łapką.

— Pachnie podłogą! — stęknął płacliwie Bielasek.

Podszedł do Finka. Bo zaciekawił się resztkami szczeciny wypluwanymi przez brata. Obwąchiwał je też starannie.

— Nie jestem zupełnie pewien, ale tak mi się zdaje, że to jest właśnie to dziwne zwierzę, wiesz, no to, które co rano biega po wszystkich pokojach przed tą kobietą, co to ją czuć rosółem i najpiękniejszymi przysmakami! — powiedział niedbale Finek. — Już wiem, gdzie to zwierzę sypia w dzień! Chcesz, to cię zaprowadzę. Pójdiesz? — spytał brata.

Bielasek wahał się. Dreptał w miejscu nóżkami. I miał ochotę wrócić na swoją poduszkę.

— Tchórz! Beksa! Lizus! — drwił z niego Finek.

— Niech będzie, co chce! Idę! — zdecydował się nagle Bielasek. — Ale, mój drogi, czy to zwierzę nie kąsa? Czy nie kłapie tak głośno po bokach, jak właśnie ta kobieta, którą czuć rosółem? — dopytywał się niepewnie.

Finek za całą odpowiedź wolno i poważnie zszedł z poduszki. I nie oglądając się na Bielaska truchcikiem pobiegł w stronę kuchni.

Po drodze do kuchni obaj bracia wymijali starannie wszystkie nazbyt otwarte miejsca. Dlaczego? Boć przecież mogliby wpaść łatwo w ręce Katarzynie. A na tym im wcale nie zależało.

Dotarli wreszcie kołując i klucząc do paki z węglami. Wsunęli się za nią. I po chwili stanęli oko w oko ze szczotką.

— Używaj! — powiedział zachęcająco Finek i usunął się. Chciał zrobić miejsce Bielaskowi.

Ale Bielasek wyraźnie stchórzył na widok olbrzymiego kosmatego potwora. Miał wielką ochotę drapnąć. I na pewno byłby uciekł. Lecz wstyd mu było. Bo Finek nie spuszczał z niego oczu. Zamknął więc ślepki i z zapartym tchem rzucił się naprzód.

Wpadł pyszczkiem w gęstwą szczeciny. Przysiadł ze strachu i ani drgnął. Czekał. A serce mu biło jak młotem! Zwierzę się nie poruszyło. Poczekał jeszcze chwilę. Otworzył oczy. Zobaczył przed sobą kłaki. I jak szarpnie.

— A widzisz? Było się czego bać? Śmiało! Rwij, ile dusza zapagnie! — dogadywał Finek.

Bielasek szarpnął z całej siły!

I wtedy stała się rzecz nieoczekiwana! Potwór zachwiał się! Machnął czymś, co stercało nad nim jak wyprostowany, olbrzymi ogon!

Psy porządnie oberwały po grzbiecie! A huk się uczynił taki przeraźliwy, że więcej było nawet strachu niż bólu!

Bracia skoczyli na oślep do ucieczki! I wpadli akurat pod nogi Katarzyny!

Wykonała ona najstaranniej to klaskanie po bokach, którego tak nie lubił Bielasek!

I tak skończyła się wyprawa na szczotkę!

XII

Dwaj szlachetni bracia czuli się w Warszawie jak w raj. I ani się domyślali, że ciągle wisiał nad nimi straszny wyrok rozłąki!

Pan Rosochacki na utrzymanie dwóch piesków stanowczo nie chciał się zgodzić. Trzeba przyznać, że tego samego zdania była mama Dzidzi. I Katarzyna. Czyli cały dom.

Oprócz samej Dzidzi, rozumie się! Bo Działa nie chciała nawet myśleć o tym, żeby się rozłączyć z którymkolwiek ze swoich miłych piesków. Finka lubiła bardzo za to, że był

Przyjaźń

żywy, sprytny, wesoły, a wyprawiał figle zupełnie nieoczekiwane. Ale lubiła też i Bielska. Było go jej właściwie żal. Bo Bielasek był wiecznie nieszczęśliwy, ciągle zmarznięty, trzęsący się, zapłakany. Któż nie miałby współczucia i litości dla takiego nieszczęśliwca?

Trzeba zresztą przyznać, że Bielasek umiał się przymilać, przypieszczać, okazywać przywiązanie bez granic!

Nie schodził on prawie z kolan Dzidzi. Biegał krok w krok za swoją panią. Co chwila wspinał się ku niej i prosił, by wzięła go na ręce. Pieszczoch był ten Bielasek i serce miało czule. A że był beksa? Wielka mi rzecz! Komu to nie zdarza się płakać, jak mu coś nie po myśli, prawda?

Pan Rosochacki obiecał już jednego z piesków swoim znajomym. Ale którego oddać? Finka? Za nic! Bielska? Nigdy w życiu! Co począć? Dzidzia wołała nie myśleć o tym!

Aż tu pewnego dnia, jakoś pod wieczór, Katarzyna poszła do miasta.

I wtedy stało się właśnie to najstraszniejsze! Jeden z piesków poszedł w świat! Do obcych ludzi! I to w jakich okolicznościach!

Ojciec, mama i Dzidzia siedzieli właśnie przy stole. Światło już się paliło. Pan Rosochacki czytał gazetę. Mama Dzidzi szyła. Dzidzia przeglądała obrazki. Cicho było i spokojnie. Nic nie zapowiadało awantury, jaka za chwilę miała wybuchnąć!

Aż tu Dzidzia usłyszała nagle stuk drzwi kuchennych.

— Katarzyna wróciła! — powiedziała pani Rosochacka, jakby nigdy nic.

— A to wybornie! — rzucił zza gazety pan Rosochacki. — Zakrzętnijcie się, proszę, koło kolacji. Muszę jeszcze wieczorem wyjść z domu!

Pani Rosochacka zaczęła składać robotę. Chwilę trwała cisza. I nagle rozległ się przeraźliwy krzyk Katarzyny:

— Moje łóżko, moje łóżko!

Wszyscy zerwali się od stołu.

Zanim zdążyli pójść do kuchni, już w drzwiach stała Katarzyna. Była cała czerwona z gniewu.

— Skaranie boskie! — krzyknęła i zaczęła wyrzekać płaczliwym głosem. — Calusieńka pościel! I pierzyna! I poduszka! Nawet ten jasek, co leżał tak wysoko! I kapa, com ją dopiero teraz położyła! Jak ja teraz będę spała, czym ja łóżko nakryję? Tyle pracy! Taki majątek! Co to teraz mydło kosztuje!

— Ale co się stało? — spytała zaniepokojona pani Rosochacka.

— Co się stało? — jęknęła z żalnym wyrzutem Katarzyna. — Ot, co się stało!

Otworzyła na oścież drzwi i szła do kuchni z miną strasznie dotkniętą i obrażoną.

Oboje państwo Rosochaccy poszli za nią. Dzidzia pobiegła przodem! Chciała pierwsza zobaczyć straszne spustoszenie. Bo, że sprawcami krzywdy Katarzyny byli Finek i Bielasek, tego łatwo się mogła domyślić!

XIII

Kapa, poduszki, kołdra — wszystko pełne było czarnych śladów psich nóg! Całe łóżko rozrzucone, przewracane! Wszystko na nim pomięte i pogniecione!

Najwidoczniej obydwaj pieski wydeptały starannie pakę z węglami! I z zamorusanymi pyłem węglowym nogami wdarły się na łóżko Katarzyny!

Czyż ktoś mógł mieć jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, kto mógł być sprawcą całej awantury? Wystarczyło spojrzeć razem z Dzidzią, Katarzyną i państwem Rosochackimi na łóżko, nieszczęśliwe, sponiewierane łóżko Katarzyny!

Finek harcował właśnie za poduszką! Bielasek najwidoczniej spadł podczas wykonywania jakiegoś karkołomnego skoku! Bo podrygiwał tuż przy kołdrze! I starał się wszelkimi sposobami wdrapać z powrotem na łóżko!

Finek na widok ludzi nie stracił wcale fantazji. Przeciwnie! Był on pewien, że cały dom zgromadził się tylko po to, by go podziwiać!

Szczeknął więc, warknął, wypadł zza poduszki. Targnął z całej siły za rożek jaśka. I zaczął harcować w najlepsze z włosami Katarzyny.

Jak to: z włosami? — pytacie.

Tak, z włosami, moi drodzy! Wszystko, co tu czytacie, jest najprawdziwszą prawdą! Bo, widzicie, Katarzyna na niedzielę i uroczyste święta przypinała sobie sztuczny warkocz.

Ten sztuczny warkocz szczególnie wtedy, gdy miała jakąś ciężką robotę w domu, chowała pod poduszki.

Katarzynie, oczywiście, wcale nie zależało na tym, aby każdy wiedział, że łąta ona łysinę sztucznym kosmykiem.

Toteż gdy zobaczyła Finka, jak z pełnym włosów pyszczkiem sadził w lansadach po koldrze, straciła resztę cierpliwości!

Schwyciła psa za łeb. Wydarła mu kok. Szmyrgnęła go gdzieś w kąt. Porwała Bielaska.

Rzuciła nim za szafę. A sama siadła na łóżku i zaczęła szlochać ze złości i strapienia.

— Katarzyno, nic wielkiego się nie stało! Plamy się wypierze. Łóżko można posłać! A co zaś do psów... — zaczął pan Rosochacki.

W tym miejscu serce Dzidzi zamarło.

— Co zaś do psów — powtórzył pan Rosochacki — to jednego dziś jeszcze odniosę do państwa Łęckich. Gdy są dwa w domu, to się ich prawdziwe psie figle trzymają. Zostawi się tego spokojniejszego!

— O, rozumie się, że nie tego pokrakę! Ulicznika! Łobuza! To Finek podmawia Bielaska! On go psuje! On go do złego namawia! — dogadywała Katarzyna i wygrażała pięścią w stronę, gdzie Finek przyczaił się za szafą.

— Katarzyno — powiedział ojciec Dzidzi — proszę o psa! A wy idźcie do pokoju!

Dzidzia ze smutkiem w sercu przysłuchiwała się hałasom, jakie dolatywały z kuchni!

Wreszcie wszystko ucichło. Dzidzia usłyszała głuche trzaśnięcie drzwi. I coraz cichszy tupot nóg ojca po schodach!

Stało się! Finek poszedł w świat!

Dzidzię nagle coś chwyciło za serduszko. A łzy wielkie jak groch potoczyły się po jej policzkach.

A wy byście nie płakali? Czy można nie płakać, rozstając się z kimś, kogo się kochało?

Nie dziwcie się też, że Dzidzia patrzyła smutnie przed siebie! Że nie widziała ani lampy, ani serwety na stole, ani kredensu! Ani nawet obrazków na ścianie!

Za to widziała jak żywego swojego Finka! Jego wesoły pyszczek, rozbawione oczka, uszki figlarnie odrzucone w tył!

Ocknęła się dopiero, gdy do pokoju weszła Katarzyna. Niosła ona w fartuchu Bielaska.

— No, ten to jest całkiem inny niż tamten powsinoga! — powiedziała.

Wyciągnęła z koszyka szczenię, spojrzała na nie i otworzyła szeroko usta.

— A to co?! — zawołała po dobrej chwili. — Ależ to Finek! To ja Bielaska odesłałam do państwa Łęckich czy jak? — zastanawiała się zdumiona do najwyższego stopnia na widok Finka. Pies nie czekał, aż się sprawa wyjaśni. Wdarł się na piersi Dzidzi, merdał rozkosznie ogonkiem i starał się liznąć po twarzy swoją panią!

Czy Dzidzia była rada z tej przypadkowej zamiany — domyślcie się sami.

XIV

Odtąd Finek panował niepodzielnie w domu.

Rósł on i zmieniał się tak szybko, jak tylko zmieniają się małe zwierzątka.

Finek w najwcześniejszym niemowlęctwie był na przykład kosmaty. Miał on wełnę długą, barwy nieco żółtawej, jak kozuszek na śmietance. Później ni stąd, ni zowąd zgubił gdzieś fryzowane kędziory. I porósł sierścią ani krótką, ani długą, a ostrą jak szczotka do zębów.

I na tym mlecznym tle, gdzieś od spodu, od samej skóry, zaczęły mu występować ciemne plamy. Były one z początku małe, nikłe jak piegi. Aż tu nagle plamy te zaczęły się rozrastać i z dnia na dzień występowały coraz wyraźniej.

— Doprawdy, ten nasz Finek to jest piegowaty jak indyjskie jajo! — mówiła o nim Katarzyna. Ale nie tylko barwa skóry Finka zmieniła się z wiekiem.

Pokraczne szczeniátko o wielkim płaskim brzuszku, telepiące się na krótkich nóżkach, o okrągłej główce, uczeplonej do owego pyzatego brzuszunia, zaczęło wyrastać na prawdziwą psią postać. I trzeba przyznać, że wyglądała ta postać wcale, wcale zgrabnie, a nawet, można powiedzieć, przystojnie.

Łebek Finka wydłużył się w dość ostry pyszczek. Brzuch ze spłaszczonej kuli wyciągnął się w podłużne jajo. Nóżki przestały być patyczkami osadzonymi w kartoflu. Uszy

Gniew

Rozstanie, Smutek,
Tęsknota

też nabrały sztywności i nie zwisały już po bokach jak dwa kawałki zmiętoszonej skóry. I ogonek Finka wyrósł również okazale. Zawijał się on teraz we wcale ładny obarzanek.

Co tu wiele opowiadać!

Finek był psiak na schwał¹²! A choć nie był foksem, jakiego szukał dla Dzidzi jej ojciec, choć nie nazywał się Wiernuś, jak marzyła niegdyś Dzidzia, był jednak pieskiem wcale sobie dorodnym. Mógł się podobać!

Nawet Katarzyna mawiała o Finku, że jest niczego sobie piesek. Nieraz też omawiały z Dzidzią tak ważną sprawę, jak kolor obróżki dla Finka, żeby mu było do twarzy i żeby w niej wyglądał i godnie, i dostojnie.

A trzeba zdarzenia, że do państwa Rosochackich miała właśnie przyjechać siostra mamy Dzidzi, ciocia Musia. Nie widziała ona jeszcze Finka. Postanowiono wobec tego, że pies musi wystąpić okazale i odpowiednio do swej urody.

Cóż tu się dziwić, że już od samego rana tego dnia, w którym miała przyjechać ciocia Musia, rozpoczęła się toaleta Finka?

Najpierw Dzidzia wycesała psa starannie. I szczotką, i grzebieniem. Później zawiązała mu na szyi piękną kokardę z czerwonej wstążki. Z tą kokardą Finek wyglądał nader przystojnie. Tak przystojnie, że gdyby nie był psem, mogłoby mu się być przewrócić w głowie nie na żarty! Tym bardziej że wszyscy bez wyjątku mówili mu to w oczy, że wygląda ładnie.

Finek operację czesania zniósł dość spokojnie. Zawiązanie jednak krawata uważał za coś, co poniża jego psią godność! Jest wprost niedopuszczalne!

Czekał też z niecierpliwością, żeby wreszcie móc się wyrwać. Stało się to właśnie wtedy, gdy spostrzeżono z okna taksówkę, którą przyjechała ciocia Musia.

Finek jednym susem skoczył do sypialnego pokoju! Wszedł pod łóżko Dzidzi! Zaszły się jak najgłębiej! I przywarował!

Bo postanowił święcie, że nie pokaże się nikomu dotąd, dopokąd dokoła jego szyi wisi coś, co go łechce, drażni i sprawia nieznośny ucisk! I jest takie ohydne! Pies ze wstążką! Słyszał to kto coś podobnego?

Zabrał się do zrobienia porządku z tym krawatem!

Targał się, tarzał, przewracał na boki, na wznak, jeździł na brzuchu po podłodze. Aż obluźnił wstążkę o tyle, że mógł ją chwycić zębami.

Wyszedł wtedy spod łóżka. Oparł się o ścianę. Zapusił zęby w kokardę. I szarpnął. Zerwana wstążka rozwinęła się po podłodze.

— Już po tobie! — warknął szczerze zadowolony.

Chwycił wstążkę mocno w zęby. Przydepnął drugi jej koniec łapką. I ciągnął! Rwał! Aż przysiadł do ziemi z wysiłku. A warczał przy tym i poszczekiwał groźnie i zawzięcie.

Rozżarł się w walce ze wstążką. Nie wiedział, co się koło niego dzieje. Ocknął się dopiero wówczas, gdy usłyszał, że go wołają. Coraz głośnie! I pani, i panienka, i Katarzyna!

— No, skończyliśmy już z tą poczwara! — powiedział sobie. — Możemy teraz wyjść do ludzi, skoro im tak do mnie pilno!

I nie śpiesząc się, godnym truchcikiem wbiegł do jadalnego pokoju. Z pyszczka zwisał mu kawałek zmiętoszonej, postrzępionej wstążki i kosmyk czerwonych nici.

— Jestem. O co chodzi? — zapytał wodząc wzrokiem po wszystkich.

— Cóżes ty znów porwał? — zdziwiła się Katarzyna. — Czym żeś się tak umalował na czerwono? Finek, ty pokrako jedna! Toć ty się umazałeś cały w czerwonym atramencie! Pokaż no, co ci to z zębów wygląda?

I wydarła z Finkowego pyszczka strzępek wstążeczki!

Smutną resztkę okazałej niegdyś kokardy!

— Finek żeżarł caluchną wstążkę, coś mu na szyi zawiązała! — stwierdziła Katarzyna. — Tylko ta szmatka została!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, patrząc na umorusanego Finka.

Finek zupełnie nie wziął do serca tego, że wobec cioci Musi staje bez pięknej kokardy!

Przeciwnie!

Uważał on, że z gołą szyją wygląda ładniej! O wiele ładniej!

Tak jak prawdziwy pies powinien wyglądać!

¹²na schwał — zdrowo wyglądający, dobrze zbudowany, silny. [przypis edytorski]

XV

Dzidzi było jednak dość przykro, że jej piesek tak niefortunnie zaprezentował się cici Musi.

Gdy tylko Finek przywitał się z cicią, Dzidzia zabrała się do niego i postanowiła powiedzieć mu parę słów prawdy.

Usiadła na fotelu. Posadziła psa przed sobą na stołeczku. I nagadała mu porządnie, wygrażając ostro palcem.

Finek słuchał. Bo cóż miał zresztą zrobić? Wiercił się wprawdzie nieco na miejscu i kręcił głową to w jedną, to w drugą stronę. Ale patrzył przymilnie swojej pani w oczy. I serdecznie majtał ogonkiem.

— Rozumiem, rozumiem! — uspokajał Dzidzię. — Nie rozumiem wprawdzie, o co ci idzie! Boć przecie nie o tę szmatkę, którą podarłem! Ale widzę, że jesteś z czegoś niezadowolona. Cokolwiek cię spotkało, nie bierz znów całej sprawy zbytnio do serca! Już ja ci znajdę coś do zabawy! Musisz się trochę rozerwać! To jasne!

Liznął Dzidzię po rączce. Zeskoczył ze stołeczka. I poszedł.

Zamyślony, z głową spuszczoną ku ziemi, przebiegł sypialnię, pokój jadalny. Biegł do kuchni.

Gdzie jak gdzie, ale w kuchni na pewno znaleźć można coś do zabawy, coś, co może zająć naprawdę każdą, nawet najwybredniejszą istotę!

„Ach, kuchnia! Czyż może być coś rozkoszniejszego nad kuchnię!” — rozmyślał, drepcząc godnego truchcika.

Pokoje, wszystkie bez wyjątku, są rozpaczliwie nudne! Jedyne ciekawsze miejsce to kredens w jadalni. Ale dotknij się, psie, do kredensu! Zaraz awantura, krzyk, wymyślania! A kuchnia! Jak tam pachnie cudownie! Sam zapach — cudo nieogłądane! Ile tam zmian w ciągu jednego tylko dnia! Rano czuć mleko, później — później czuć surowe mięso, kości, czasem wędzonkę! W południe unoszą się tam zapachy tak ponętne, że w głowie się kręci! I nieznanie! Bo co dzień inne. Przyrządza je Katarzyna! Brzęka przy tym w garnki i stuka nożem o stolnicę!

Tam też, w kuchni, jest najczarowniejszy sprzęt w całym domu — kubel ze śmieciami!

Katarzyna broni tego kubła! Miałaby go nie bronić z całą zaciętością? Któż by nie bronił skarbu nad skarbami?

Marzeniem Finka było dorwać się kiedykolwiek do tego czarodziejskiego kubła! Przewrócić go na ziemię! Przetrzęsnać wszystko, co się w nim znajdzie! Wszystko!

A czego tam nie ma! Można tam znaleźć, co dusza zapagnie! Nawet kości! Widać najlepiej smakują one Katarzynie! Najbardziej się też gniewa, jeżeli wyciągnąć choć jedną i uciekać z nią do pokoju. Któż by się temu dziwił? Czyż jest na świecie coś bardziej rozkosznego nad kość?

„Kuchnia! Ach, ta kuchnia!” — myślał Finek i biegł wprost do kuchni. Spodziewał się, że gdzie jak gdzie, ale tam znajdzie na pewno coś, czym będzie mógł ucieszyć Dzidzię. Jakżeby miał nie znaleźć? W kuchni?

Aż tu! Co za los! Drzwi od kuchni zamknięte!

Wszystko przez tę Katarzynę! Ach, ta obrzydliwa skąpica!

Finek, zawiedziony i zły, cofnął się do jadalnego pokoju. Podeszedł do kredensu. Wsadził nosk w szparę od drzwi i zaciągnął się. Zapachy jak z bajki! Coś rozkosznego!

— Można by tam znaleźć coś nad wyraz ciekawego! Ale jak tu się dostać, kiedy zawsze zamknięte! — warknął z rozpaczą. Psie życie, naprawdę psie!

Był zupełnie bezradny. I do głębi zmartwiony. Kuchnia zamknięta! Kredens też zamknięty!

Co tu począć? W całym domu poza kuchnią i kredensem nie ma przecież nic godnego uwagi!

Nagle przypomniało się Finkowi, że w przedpokoju można znaleźć czasem kalosze!

Kalosz, jak to kalosz! Ani się umywa do kości! Daleko mu choćby do rozgotowanego i pachnącego tłuszczem buraka! Aleć i kalosz ma swój wdzięk! Da się łatwo gryźć. Można go też ogryzać bardzo długo! A zębki tak mile wpadają w coś, co od nich odskakuje.

Pobiegł więc Finek truchtem do przedpokoju. Od razu skierował się do kąta, gdzie czasem można było znaleźć kalosze. Ale kąt był pusty. Ani śladu kaloszy. Leżała tam

Kuchnia, Pies

tylko jakaś nieznaną paczką. Na niej — druga. Paczki te pachniały obco jakoś, dziwnie, niezrozumiale. Tak samo zresztą czuć było płaszcz wiszący obok paczek, parasolkę. W ogóle cały kąt zajęty przez obce rzeczy.

Finek wachał, wachał, kiwał głową.

„Hm, rozumiem! To są kawałki tej osoby, która moją panienkę trzymała na kolanach! — powiedział sobie wreszcie. — Tu jednak jest coś takiego, co już gdzieś, kiedyś było u nas!” — pomyślał i znów zaciągnął się zapachem.

Wspiął się, jak mógł najwyżej. Pociągnął nosem.

— Ależ tak! To jest ten pachnący cukier, który jada moja panienka! — ucieszył się.

Wskoczył na niższą paczkę. Stamtąd wygramolił się z trudem na wyższą. Wsparł się łapkami o stolik. I obwąchiwał ze wszystkich stron pakunek owinięty w bibułkę i przewiązany różowymi wstążeczkami.

Wachał tak zawzięcie, trącał noskiem tak mocno, że paczka zsunęła się ze stolika. I spadła na podłogę.

Finek uskoczył. Stoczył się z walizki. Przestraszył się, bo nuż Katarzyna usłyszy? Przywarował więc cichutko do ziemi.

Czekał. Po chwili jednak podsunął się ostrożnie do paczki. Chwycił ją w zęby. Szarpnął. Został mu w pyszczku kawałek bibułki.

„Ależ to się rwie lepiej niż książka! — pomyślał z radością Finek. — I nikt mi nie przeszkadza! Rozkosz!”

Rozsiadł się więc wygodnie na podłodze. Odsapnął. I zaczął szarpać, rwać, targać pudełko na wszystkie strony!

Obdarł bibułkę do szczętu. Zerwał już wstążeczki. Szarpnął wieczko. Otworzył. I onie miał z zachwytu! Pudełko pełne było czekoladek!

— No, nareszcie znalazłem coś, z czego się moja panienka ucieszy! Muszę tylko najpierw sam spróbować, czy dobre — mruknął.

No i zaczął próbować. A próbując tak się rozjadł, że tylko uszy sterczały mu z pudełka!

Zjadł już więcej niż połowę czekoladek. Podniósł głowę znad pudełka.

— Dobre, zupełnie dobre! — stwierdził i oblizal się starannie. — Idziemy teraz po panienkę! — postanowił i wybiegł z przedpokoju.

Dzidzia rozmawiała właśnie z cicią Musią.

Finek stanął przed swoją panią i szczeknął:

— Proszę za mną! Chodź za mną, mówię ci!

Dzidzia nie zwróciła na psa uwagi.

Finek szczeknął więc jeszcze raz. Merdając ogonkiem poczał obiegać Dzidzię. Zachęcał ją, aby szła za nim.

— Prześtań rozmawiać o byle czym! Są inne, naprawdę ważne sprawy! Chodźże za mną! Bardzo cię proszę! — przemawiał do Dzidzi. — Zobaczysz, że nie pożałujesz!

— Co tu tak pachnie czekoladą? — zauważyła Dzidzia.

— Czekoladą? A prawda! — zgodziła się cicia Musia. — Mój Boże, przecież ja dla ciebie przywiozłam czekoladki! I zapomniałam ci je oddać! Chodźmy do przedpokoju!

Finek rozradowany, że nareszcie zrozumiano jego zaprosiny, biegł przodem wolnego truchcika. Za pieskiem szła cicia Musia i Dzidzia.

W drzwiach do przedpokoju Finek się obejrzał. Uspokoił się widząc, że jego panienka idzie za nim. Podbiegł więc prosto do pudełka z czekoladkami. Stanął nad nimi i szczekał znacząco.

— No, bierz i jedz. Próbowałem! Wyśmienite! Na pewno będą ci smakowały! Jedz i prześtań się boczyc na mnie!

Wtem uczuł, że ktoś chwyta go za kark! Podnosi w górę! I znów ten świerzbiący ból w szynkach.

To Katarzyna, która zawsze nie wiadomo skąd się zjawiała, chwyciła Finka i okładała porządными klapsami! A później zamknęła skowyczącego pieska w ciemnej komórce na schodach.

I zrozum tu, biedny psie, ludzi!

XVI

Ciocia Musia przywiozła mamie Dzidzi w upominku piękną skórę przed łóżko.

Katarzyna, gdy jej pokazano prezent cioci, pokiwała głową i powiedziała:

— Tylko ją położyć na ziemi! Zaraz nasz Finek pokaże, co potrafi! Już on da radę tej skórze. Strzępy z niej tylko zostaną!

Nie bardzo wierzono przepowiedniom Katarzyny. Wszyscy wiedzieli o tym, że miała ona zawsze z Finkiem na pieńku. Położono więc uroczyście piękną skórę przed łóżkiem. I pani Rosochacka nie mogła się nacieszyć miękkością i puszystością futra.

A Finek? Czy Finek nie zwrócił uwagi na prezent cioci Musi? Nie? Dlaczego?

Dlatego, że Finek tego dnia nie pokazywał się wcale w sypialnym pokoju! Był zajęty gdzie indziej.

Gdzie? Kręcił się koło kuchni?

Tak. Przyczał się w korytarzu. I jak tylko zobaczył, że drzwi do kuchni są uchylone, wsunął się cichuteńko za pakę z węglami.

Był tak zgorzkniały po ostatniej awanturze z czekoladkami, że postanowił sobie zerwać się gdzieś z dala od ludzi! A jak najbliżej kubła!

W kuchennym kubku, jak wiecie, można zawsze znaleźć pociechę!

Katarzyny nie było właśnie w kuchni. Finek wychylił się więc zza paki. I ostrożnie, na końcach palców, sunął w stronę, gdzie zwykle stał kubek.

Już był w połowie drogi, gdy zaleciał go zapach całkiem niespodziewany! Gdzieś z góry! Jakby spływał z sufitu! Podniósł więc wysoko nosek i pociągnął. Tu!

Zaciągnął się drugi raz! Tak, tu! Niezawodnie tu! Albo na stołku, albo jeszcze wyżej!

Finek wspiął się na stołek. Spojrzał. Przed nim stał talerz! A na talerzu wysoka babka, obłana sokiem malinowym!

Liznął sok raz, liznął drugi. Wyborne!

Nie tracąc czasu, zaczęła lizać coraz szybciej. Język aż mu fruwał w powietrzu! Wylizał do czysta sok z talerza.

Już miał się zabrać do babki. Aż tu słyszy nagle tupot nóg koło drzwi. Zgrzyt klucza w zamku. Wraca... Kto? No oczywiście Katarzyna.

Katarzyna!!!

Jednym susem Finek był już na ziemi! Drugim śmignął w otwarte drzwi korytarza! Jak strzała przebiegł pokój jadalny. Wpadł do przedpokoju. Schował się w kąt.

„Ach, jak ja nie lubię tej Katarzyny! — wyrzekał, siedząc przyczajony za paltem. — Ręce ma twarde i ciężkie! Jest dziwnie niedelikatna! I nigdy nie wiadomo, co jej do głowy przyjdzie! Oho, już się gniewa” — pomyślał, jeszcze głębiej wtulił się w kąt i zasłonił paltem.

Katarzyna tymczasem wpadła do jadalnego pokoju. I narzekała przed panią Rosochacką:

— To skaranie boskie z tym psem! Wyjść z kuchni nie można! Ta szelma wylizała sok z leguminy do czysta! Co teraz począć? Trzeba robić wszystko od nowa! Skórę obłupię z niego, jak go złapię! Finek! Finek! Pójdź tu zaraz! Pójdź, psino! — wołała aż nazbyt zachęcająco.

Ale Finek ani drgnął.

„Nie ma głupich! Wiem ja, co znaczy takie wołanie!” — powiedział sobie i jeszcze głębiej wtulił się w palta.

— Finuś! Piesek! Pójdź tu! — nawoływała Katarzyna chodząc po pokojach.

Szukała wszędzie psa. Ale Finek ani myślał opuszczać kryjówek.

— Finuś! Na-tu-na! Piesku! Masz! Finek! Masz! — wabiła coraz przymilniej Katarzyna.

Finek wiedział aż nadto dobrze, co były warte te obiecanki!

Siedział więc pod paltem. A oglądał się dokoła i rozmyślał, gdzie by się tu ukryć jeszcze bezpieczniej. Wydało mu się to tym bardziej konieczne, że słyszał ciężkie kroki Katarzyny.

Cichutko więc, ostrożnie, spłaszczony, tak że brzuszkiem prawie dotykał ziemi, przyczołgał się do drzwi pokoju. Wsunął się pomiędzy dwie stojące obok siebie szafy!

Odetchnął. Tu czuł się całkiem pewnie. Tym bardziej że Katarzynie zdziwiły się widać bezowocne poszukiwania, bo przestała go wołać. Już nie było słycać jej stapania.

„No! Może się nareszcie uspokoi! Nigdy nie wiadomo, co w tym domu najporządniejszego psa spotkać może!” — pomyślał Finek z ulgą.

XVII

Finek przesiedział w ukryciu bardzo długo. Zniósł nawet brzękanie talerzami przy obiedzie i nosa spomiędzy szaf nie pokazywał. Wolał rzec się obiadu niż wpaść w ręce Katarzyny!

A jeść mu się chciało okropnie.

Ale więcej niż głód dokuczala mu nuda i beczyność. Szczególnie gdy się przespał wybornie na obydwie boki.

Zaczął więc rozmyślać nad tym, jak i gdzie się przenieść!

Wyjrzał. Już chciał śmignąć do innego pokoju, gdy usłyszał głos Katarzyny. Wpadł więc za kufer, stojący obok szafy, i tam przycupnął przy ziemi.

Niebezpieczeństwo minęło. Straszny głos umilkł. Finek rozejrzał się przytomniej. Dostrzegł tasiemkę zwieszającą się tuż jego nosie.

„Świat się kończy! — pomyślał. — Nigdzie spokoju! Nigdzie bezpieczeństwa! Wszędzie zasadzka! Nie ma wprawdzie Katarzyny, ale za to jest jakaś biała bestia, która czai się na mnie. No, ale tego już za wiele! Z tym damy sobie radę!”

Schwycił zębami za tasiemkę! Pociągnął raz, pociągnął drugi! Tasiemka się poddała. Jednocześnie na wierzchu kufra rozległo się jakieś zabawne szuranie. Szarpnął mocniej. Znow poruszyło się coś na górze.

Finek skoczył przed siebie z tasiemką w zębach.

I tu stało się coś zupełnie nieoczekiwanego!

Okragłe, wielkie pudło od kapelusza przewróciło się. Pokrywka z niego spadła. Czarny kapelusz z różowymi kwiatami wysunął się z pudełka. Spadł wprost na głowę Finka! I przykrył go zupełnie!

— Już po mnie! — jęknął Finek i przypadł do ziemi.

Był przerażony, oszołomiony, nie śmiał otworzyć oczu. Straszny potwór trzymał go za głowę! Jakies ostre kolce wpijały się Finkowi w lebek, w uszy, w kark!

— W nogi! — powiedział sobie Finek i co sił puścił się na oślep przed siebie.

Huknął głową o szafę! Odskoczył. Spojrzał przed siebie. O dziwo! Straszny potwór zeskoczył z Finka! Leżał tuż przed nim! Pokazywał mu nie jeden, ale całe mnóstwo czerwonych języków! Tego było dla Finka za wiele!

Nie szcękając, nie warcząc, z zimną i niemą zawziętością rzucił się na tego potwora!

Szarpnął go z jednego boku! I oddał kawał ciała! Szarpnął z drugiego! Wyrwał te paskudne języki. Oparł się nogami na samym środku cielska! I dar! Szarpał! Gryzł!

Pożarł jeden ozór czerwony. Pożarł drugi. Trzeci pogryzł z mniejszą już żarłocznością. A przy czwartym skrzywił się niemilosiernie.

— Łykowate! Bez smaku! Dziwnie lechce po języku! To najbardziej przykry w smaku potwór, jakiego udało mi się kiedykolwiek upolować! — stwierdził.

Spojrzał raz jeszcze z pogardą na poszarpane szczątki kapelusza i odszedł od nich z powagą i godnością zwycięzcy.

Pożarte kwiaty z kapelusza dziwnie jakoś usposobiły Finka. Czuł się wyraźnie nieswój! Odczuwał przykre kręcenie w brzuchu, bulgotanie, przelewanie się. Jednocześnie jakaś niemoc i senność opadła naszego bohatera, senność, której nie umiał się oprzeć.

Nie zwracając już na nic uwagi, położył się tam, gdzie stał. Poczuł, że leży na czymś miękkim, więc się poprawił, okręcił. I zasnął snem głębokim. Ale niezupełnie spokojnym.

Bo przez sen marzyły się Finkowi straszne, przeraźliwe walki. Staczał je z dziwnymi potworami. Każdy z tych potworów miał po sto rąk. A wszystkie długie, chwytliwe i twarde jak ręce Katarzyny!

Potwory patrzyły na Finka straszliwymi ślepiami. Oblizywały się krwawymi ozorami koloru kwiatów od kapelusza! Opadły one Finka! Wyciągały do niego ręce! Chwytały za brzuszki i gniotły tak nieznośnie, że Finek aż się związał z ostrego i dokuczliwego bólu!

Wreszcie jedna poczwara dopadła psiej głowy i zaczęła owiązywać ją wstążką długą, długą bez końca! Finek dusił się! Brakło mu tchu!

Potwór, Walka

Sen

Ostatnim wysiłkiem zebrał się w sobie! Natężył! I jak warknie! Jak szarpnie za kosmatą łapę! Wpił się zębami w wełnę potwora i drze! A wydarte kosmyki lecą i lecą! Coraz większe i większe!

Finek szczeka coraz głośniej! Coraz radośniej! A potwór miota się z bólu, wije!

Finek nie zna litości! Szarpie! Gryzie! Dopadł szy! Już dusi!

— No, i patrzcie państwo, nie mówiłam! Nie przepowiadałam? Całą skórę podarł, poszarpał! A jak się to rozżarł! Finek, pójdiesz ty precz!

Finek się ocknął. Pod nim leżała skóra od ciotki Musi. A nad nim stała — Katarzyna!

— Jezus, Maria! A coś ty z tego kapelusza zrobił? — jęknęła. — Ty przebrzydły niszczycielu! Ty zaraz!

Finek nie mógł jej wytłumaczyć, co i jak się stało! Nie zdradzała ona zresztą najmniejszej chęci do słuchania jego opowieści!

Niedobrze było! Bardzo niedobrze!

Zamknięty w komórce, z obolałymi bokami, rozmyślał samotnie Finek o tym, że sny są o wiele piękniejsze od rzeczywistości.

Ach, jak trudne i pełne przykrych niespodzianek jest psie życie!

XVIII

Ciocia Musia wyjeżdżając zaprosiła panią Rosochacką i Dzidzię do siebie na lato.

— A co będzie z Finkiem? — spytała niepewnie Dzidzia.

Obawiała się ona, i nie bez słuszności, czy ciocia Musia zechce mieć u siebie takiego psa, o którym Katarzyna mówi, że większego szkodnika świat nie widział.

— Finka zabierzecie ze sobą! To bardzo miły piesek. Wolę psy wesołe, żywe, a nawet psotne niż ospałe i leniwe — powiedziała ciocia Musia i zwracając się do pieska, który kręcił się koło jej krzesła, dodała: — Będzie nam dobrze ze sobą, prawda? Finek jest dobry piesek, miły piesek!

Finek patrzył serdecznie ciotki Musi w oczy. Merdał ogonkiem najprzymilniej, jak umiał. W spojrzeniu ciotki musiał on dojrzeć coś dziwnie dobrego i pociągającego, bo wspiął się ku jej ręce. Lizął ją po dłoni, po palcach.

Ciocia Musia nabrała na łyżkę soku z konfitur i dała Finkowi do oblizania. Pies lizął prędko i mamrotał z rozkoszą:

— Wyborne! Znakomite! Jesteś zacna kobieta! Przesmaczne! Zawsze cię będę kochał! Nadzwyczajne! Jak tylko skończę, to cię pocałuję.

I jak tylko wylizął łyżkę do czysta, wskoczył ciotki Musi na kolana. Zanim się spostrzegła, liznął ją po twarzy.

Odtąd szczerze polubił miłą panią i bardzo był zmartwiony, kiedy ciocia Musia wyjechała.

Szukał jej po całym mieszkaniu. Zaglądał do wszystkich pokoi. Wsuwał się pod sprzęty, za szafy, pod łóżka. Przeglądał palta w przedpokoju. I nigdzie jej znaleźć nie mógł. Doszedł więc do przeświadczenia, że to nikt inny, tylko Katarzyna, ta wszechmocna osoba, musiała gdzieś schować dobrą panią.

Przy pierwszej też nadarzonej okoliczności wpadł do kuchni. I zaczął bobrować wszędzie. Po długich poszukiwaniach trafił wreszcie na ślad. Już wiedział wszystko!

Pani, dobra pani, była ukryta w łóżku Katarzyny!

Wąchał kapę, poduszkę. Nie, nie tu. Wszedł pod łóżko, obwąchał siennik. Zgubił ślad. Wrócił znów do kapy i do poduszki. Badał, wąchał! Zaciągał się szybko, łakomie zapachem dobrej pani, która na pewno była w łóżku!

Wsunął wreszcie głowę pod poduszkę.

„Już mam! Jest dobra pani! Znalazłem dobrą panią!” — pomyślał rozradowany.

Zapusił zęby w coś, co najsilniej pachniało ciotką Musią.

I wyciągnął spod poduszki jedwabną chusteczkę Katarzyny!

Dlaczego właśnie chusteczkę?

Bo była uperfumowana wodą kolońską, jakiej używała ciocia Musia!

Finek schwycił chusteczkę. Zaciągnął ją w najciaśniejszy kąt pomiędzy szafą z naczyniami i paką. Położył się na niej. Szarpał ją. Targał! A warczał przy tym coraz zawzięciej! Bo był zły, że oprócz chusteczki nie znalazł nic więcej!

Z chusteczki, niestety, nic nie zostało! Finek wstał i wyszedł na środek kuchni. Ziewnął głośno. Był znudzony i zawiedziony.

Opadły go myśli czarne, najczarniejsze. Rozejrzył się dokoła. Znalazł jedyną rzecz, godną w takiej chwili jego uwagi!

Węgiel!

Siadł więc przy koszyku z węglem. Pogryzał od niechcienia jeden kawałek po drugim.

Gryzł bez smaku. Chrupał bez zapału. Tak sobie. Aby się czymś zająć w tej smutnej godzinie zawodu i niepowodzenia.

XIX

Tego dnia po obiedzie Katarzyna wybierała się do ciotki. Staruszka przyjechała do Warszawy i wezwała ją do siebie.

Katarzyna postanowiła wystąpić strojn i okazale. Do okazałości stroju należała właśnie owa jedwabna chusteczka.

Zajrzała więc pod poduszkę. Pusto. Przetrzęsnęła całą pościel. Ani śladu! Szukała na podłodze! Jak kamień w wodę!

Zrzuciła całą pościel na ziemię. Przejrzała Wszystko. Nie ma!

— Przecież nie zgubiła — medytowała. — Kiedym to ją miała ostatni raz? Aha! Wczoraj rano! A może wsadziłam ją przez zapomnienie do kuferka?

Dopadła do kuferka. Otworzyła wieko i wyrzuciła wszystkie rzeczy na podłogę.

Ani widu, ani słyhu!

Katarzyna siadła na sienniku. Myśli, przypomina sobie, rozważa. Gdzie by też jeszcze mogła być ta prześliczna chusteczka.

— Co się stało? — spytała zaniepokojona pani Rosochacka wchodząc do kuchni.

Katarzyna bąknęła coś niewyraźnego w odpowiedzi. I zabrała się z ciężkim sercem do sprzątnięcia kuchni.

A Finek dojrzał tak niezwykle, a tak miły jego oku porządek na podłodze. Odsadził się. I jednym susem znalazł się w samym środku kuchni!

Schwycił w zęby odświętny kapelusz Katarzyny. Warknął. Odskokzył w prawo. Szczeknął. Odskokzył w lewo. I jak śmignie do pokoju!

Kapeluszem wykonał dokoła jadalnego stołu najpiękniejszą ósemkę! Wskoczył pod kanapę! Zawadził przy tym kapeluszem o nogę od stołu! Więc szarpał, warczał, obskakiwał nogę ze wszystkich stron!

— Pójdziesz! Pójdziesz! Puść! Puść! Oddaj! — wołała Katarzyna i biegła co sił za Finkiem.

Dopadła go aż w przedpokoju. Tam wydarła mu kapelusz! Odświętny kapelusz! Z piórem!

No i znów boki Finka zawarły bliską, a przykrą znajomość z płaskimi dłońmi zirytowanej do żywego Katarzyny!

„Zrozum tu ludzi! Zachęcają do zabawy! Rozkładają zabawki. Proszą, żeby się bawić! I co? Eh, psie życie! Prawdziwie psie!” — rozmyślał Finek.

I wsunął się pod łóżko Dzidzi! Byle jak najgłębiej! Chciał się znaleźć jak najdalej od ludzi!

XX

Katarzyna poszła do cici. Powróciła na krótko, by przygotować kolację. I znów wyszła na wieczór.

Po kolacji Finek wsunął się do kuchni. Bo drzwi nie były zamknięte.

Cóż tu się dziwić, że chciał być jak najbliżej kubła?

No i wszystkich rozkoszy, jakich pełno było w kuchni.

Na wszelki wypadek Finek rozejrzył się dokoła. Upewnił się, że nigdzie nie ma Katarzyny.

I że, o dziwo, kubel stoi w kącie. Pełny! Bo Katarzyna zapomniła go wynieść!

Wobec tego Finek uznał, że nadszedł czas, by spełniło się najpiękniejsze z jego marzeń. Postanowił przetrząsnąć do dna kubel ze śmieciami!

Do samego dna! Do ostatniej kosteczki!

Już szedł do kąta przy drzwiach, gdzie stał kubel. Aż tu nagle, jakoś w pół drogi, usłyszał nad sobą jakiś dziwny odgłos! Jakby skrzypienie drzwi!

Rozpłaszczyl się na podłodze ze strachu!

„Oj, oj, Katarzyna wchodzi teraz do kuchni przez sufit! Ona wszystko potrafi!” — pomyślał, a serce mu biło jak młotem.

Leżał plackiem na podłodze. Ani drgnął. Był pewien, że Katarzyna lada chwila chwyci go za kark. I znów lanie pewne!

A tu drzwi w suficie skrzypią i skrzypią! A Finka nikt nie chwytą za kark! Nikt nie daje klapsów! Ba, nie słyhać nawet ciężkiego chodu Katarzyny! Cisza! Tylko to skrzypienie drzwi w suficie ani na chwilę nie ustaje!

Finek ostrożnie, jednym okiem, spogląda do góry.

Nigdzie nie widać Katarzyny!

Podniósł się. Usiadł. Patrzy — nie ma drzwi w suficie!

A jednak coś skrzypi! Na pewno skrzypi!

Zaczął rozglądać się przytomniej. Dojrzał zawieszony na ścianie coś przedziwnego: przezrocyste pudełko. A w tym pudełku coś, co było żółte. I skrzypiało tak zabawnie!

Tego Finek nie widział jeszcze jak żyje! Aż mu w gardle zaschło ze wzruszenia i ciekawości. Z wywieszonym ozorkiem wpatrywał się w niewidziane zjawisko.

A żółte dziwowisko miota się w pudełku!

I skrzypi!

Widział to kto samo skrzypienie? Bez drzwi?

Cóż to za skrzypienie? — spytacie. Był to kanarek! Taki sobie zwykły kanarek!

Katarzyna dostała go od ciotki. Tej, co właśnie przyjechała do Warszawy.

— Muszę cię mieć! Muszę cię poznać! Muszę się dowiedzieć, kim ty jesteś! — szczeknął Finek i podskoczył w górę.

No i kłapnął zębami o dobry łokieć¹³ od klatki z kanarkiem. Ciężko brzdęknął o ziemię.

Skoczył jeszcze raz. To samo!

Zebrał się w sobie. Natężył, jak móg! Odbił od ziemi! Ale ani myśleć o doskoczeniu do klatki!

„Wejdźmy na pakę z węglami. Stamtąd na tę niską szafkę! O, wtedy dostaniemy się do skrzypiącego pudełka jak po maśle!” — pomyślał Finek.

Wdrapał się więc na szafę.

Stanął oko w oko z ćwierkającym pudełkiem. Wysunął jak najdalej nos. I wąchał.

— Phi! — skrzywił się zawiedziony. Wielkiej zabawy po tym sobie nie obiecuje! Ale spróbować można! Trzeba tylko najpierw rozbić pudło! Później już będzie łatwo dostać się do tej skrzeczającej waty!

Odbił się od szafki! Skoczył na klatkę.

Klatka przekrzywiła się na gwoździu. Ale nie spadła. Natomiast Finek rymnął¹⁴ po drugiej stronie szafki na podłogę, aż jęknęło.

— To nie jest zabawa dla przyzwoitego psa! — stęknął dobrze potłuczony. — Dość tych niemądrych skoków! Szkoda czasu! Kubel na nas czeka! — powiedział sobie i ruszył wprost do kubła.

XXI

Finek znalazł się wreszcie wobec kubła ze śmieciami! Aż mu dech zaparło ze wzruszenia!

Trząsł się cały! Dygotał jak w febrze¹⁵! W pyszczku czuł suchość. Oblizal się. I aż przysiadł na podłodze z dziwnej niemocy, jaką uczuł w sobie.

Wąchnął zrazu lekko. Później zaciągnął się głęboko, całymimi płucami.

„Rozkosz! Co za zapachy! Wszystko tu pachnie! Wszystko, czego tylko dusza zapragnie!” — pomyślał, zamknął oczy z rozkoszy.

I nagle rzucił się na skarby w kubie.

Chapnął marchewkę pachnącą rosołem! Cudowna!

¹³łokieć — dawna miara długości, wynosząca zazwyczaj ok. 50–60 cm. [przypis edytorski]

¹⁴rymnąć — przewrócić się. [przypis edytorski]

¹⁵febra — choroba, do której objawów należą dreszcze i gorączka. [przypis edytorski]

Schwycił skórki od kartofli. Nieco może mdle, ale kruche i pachną zupełnie jak pieczeń. Rzucił się na burak z barszczu! Delicje! Sam się w ustach rozplywa!

— Rozkosz! Cudo! Świat nie widział czegoś podobnego! — napawał się Finek szczęściem bez granic.

I nie wyjmował pyszczka z kubła!

Z początku jadł statecznie, wolno. Później żarł coraz łapczywiej. Wreszcie ćpał, jakby chciał pożreć wszystko! Nie tylko to, co było w kubie, ale sam kubel, kuchnię, cały dom! I od razu! Natychmiast! Bez zwłoki!

Nagle spośród różnych odpadków zaczęła się wynurzać okrągła pała kości.

— Kość! Prawdziwa kość! Marzenie mojego życia spełnione! — warknął Finek, chwycił zębami za koniec gnata i ciągnął go do siebie.

Tak się rozżarł przy tej ciężkiej pracy (kość mocno tkwiła w kubie), że ani spostrzegł, gdy otworzyły się drzwi.

Stała w nich Katarzyna!

Oniemiała! Rozkrzyżowała ręce! I stała przez chwilę nieruchoma!

Spojrzała na ścianę. Zobaczyła miotającego się w przekręconej klatce kanarka. Rozejrzała się po podłodze pełnej odpadków!

Tęgo już jej było za wiele!

— O Jezu miłosierny! — jęknęła i skoczyła do Finka.

Finek nie czekał. Chwycił w zęby kość i jednym susem już był za kuchennymi drzwiami.

Zbiegł ze schodów! Ani się obejrzał — aż na podwórzu!

Tam wsunął się w najciemniejszy kąt. Bał się, by i tu nie dosięgła go straszna zemsta Katarzyny!

Zabrał jej przecież kość! Kość! A ona tak zabiegała o to, by wszystkie kości mieć dla siebie! I tak ich broniła!

Kto by się zresztą temu dziwił? Czyż na całym świecie jest coś, co można by porównać z kością? Nie ma!

Finek próbował cieszyć się zdobytym skarbem. Zaczął starannie kość ogryzać. Ale, niestety, jakoś mu nie smakowała! Czuł dziwny niesmak! Jakieś bóle i niepokojące ściskanie w brzuszku! A brzuch Finka z jednej strony wzdął się jak bania! Ani siedzieć, ani leżeć, ani się ruszyć! Niedobrze!

Finek usiadł. Ból stawał się coraz ostrzejszy. Położył się. Bóle nie ustają. Spróbował się przejść. Nic mu nie lepiej! Aż w głowie się kręci! A tak jakoś dziwnie nieprzyjemnie i mdło. Niedobrze! Zupełnie niedobrze!

Odwrócił się od kości! Nie chciał nawet na nią patrzeć!

„Nie mogę znieść zapachu jakiegokolwiek jada! To zapewne z irytacji! — pomyślał. — Wszystko przez tę Katarzynę!”

Cofnął się od kości o kilka kroków. Oparł się o ścianę.

I zaczął smętnie rozmyślać nad tym, czy to warto było wyjadać wszystko od jednego zamachu z tego kubła?

— Bhu! Jak mi niedobrze — stęknął. — Ajaj, jak mnie wszystko boli! Nic innego, tylko ta marchewka mi zaszkodziła. Już nigdy w życiu nie będę jadł marchwi! Bhu! A to mi dokuczal!

I biedny Finek długo skarżył się i jęczał. Aż wreszcie w sposób nader gwałtowny, a bardzo dla siebie przykry, rozstał się z tym wszystkim, co był wyjadł z kubła!

I zasnął!

Ale nie na poduszce, którą odziedziczył po Pucku! Spał tym razem na twardym asfalcie podwórza! A zimno mu było! A nieprzytulnie.

— Nigdy nie spojrzę nawet na marchew — pojękiwał przez sen niespokojny i pełen najprzykrzejszych widziadeł.

Nazajutrz, z samego rana, był sądny dzień w domu państwa Rosochackich.

Finek zginął! Nie ma Finka! Dzisiaj płacze, rozpacza!

Aż tu przez uchylone drzwi, prowadzące z kuchni na schody, wsuwa się zguba. Przemyka się chyłkiem koło Katarzyny. Sadzi¹⁶ w korytarz. Wpada do sypialnego pokoju. Wskakuje na łóżko zapłakanej Dzidzi. I liże ją po twarzy!

Radość nie do opisanania!

XXII

W tydzień później pani Rosochacka z Dzidzią wyjechały na wieś. A z nimi Finek.

Ciocia Musia nie mieszkała na szczerej wsi.

Dom państwa Witkowskich leżał na skraju małego, czystego miasteczka. Otaczał go ogród pełen kwiatów i stary sad.

Dzidzia bardzo kochała dobrą, miłą, wesołą ciotkę Musię. Kochała też stary dom i ogród, i sad! Czula się zawsze u ciotki w gościnie jak w niebie!

Całe dni biegała po ogrodzie. Ale najbardziej lubiła podwórze!

Po prawej stronie tuż przy furtce, stoi tam kurnik zajęty przez kaczki. Króluje w nim Józio, wielki, ciemno pręgowany kaczor z pawim podgardlem i kosmyczkiem zawiniętych do góry piórek na ogonie. Jasnożółty dziób zadziera co chwila do góry i ochryplym głosem woła:

— Kwa, kwa, kwa! Zjedliśmy już wszystko! Woda wylana! Dajcie jeść! Kwa, kwa, kwa! Porządna kaczka zawsze jest głodna!

— Żreć, żreć, żreć! — wołają za nim biała Maleńcia, łaciata Sylwka i prawie czarna Kicka, która ma dziób purpurowy jak z koralu.

Wystarczy stanąć przy kratce, a wszystkie kaczki nieruchomieją na chwilę. Wyciągają głowy. I spoglądają zabawnie to jednym, to drugim czarnym paciorkiem oka. Upatrują, czy nie dostaną czegoś do zjedzenia.

Gdy Dzidzia wchodzi za kratkę, kaczki zbijają się w ciasną gromadę. Na przodzie staje Józio, pochyła łebek do ziemi i patrzy groźnie spod oka.

Wystarczy się obrócić, a już Józio jak kula toczy się ku dziewczynce i stara się uszczypnąć ją w gołą łydkę.

Te nie dość przyjazne stosunki trwają zresztą tylko przez kilka pierwszych dni! Później Józio i reszta jego rodziny wybiegają już na spotkanie Dzidzi. Bo nigdy nie przychodzi ona do kaczek z próżnymi rękoma!

Po lewej stronie podwórza, przy samej kuchni, stoi taki sam kurnik, tylko większy. Podzielony jest na dwie izby z piękną okratowaną werandą.

Ten pałac zamieszkują kury. Panuje tam niepodzielnie kogut Bielak. Ma on olbrzymi koralowy hełm na głowie i biały pióropusz na ogonie. Łysucha z gołym podgardlem, Białka, Siemieniatka, Czerwona, Krasa, Fila — stanowią jego dwór.

Czarnuszka jest jego ukochaną żoną. Wodzi¹⁷ mu ona w tej chwili piętnaścioro dzieci — złotopuchów.

Mieszka też tam inna kura, Łapcia. Nie miała się ona gdzie podziąć ze swoim potomstwem, niby jej własnym, a tak obcym — z siedmioma kaczkami!

Biedna Łapcia! Co ona ma kłopotów! Nie może ani rusz trafić do ładu ze swoimi dziećmi! One chcą czego innego niż ona, a wcale nie robią tego, co ona uważa za konieczne! Nie chcą na przykład jeść smacznych robaczków, które trzeba wygrzebać z ziemi! I w ogóle ani myślą o uczeniu się trudnej sztuki grzebania! Za to jak oszalałe rzucają się w wielką kadź z wodą wkopaną w ziemię! Choć Łapcia krzykiem i kuksańcami odwodzi je od tych niebezpiecznych figlów!

Po podwórzu spaceruje też Maciuś — czarny, rosły kot, utykający na tylną nogę.

Wielki to mruk. Zły jest i zgorzkniały. Śpi po całych dniach na słońcu, a budzi się tylko wtedy, gdy słychać zmywanie naczyń w kuchni. Zeskakuje wówczas z daszka drwalki i co sił sadzi do kuchni. Boi się spóźnić na wylizywanie różnych przysmażanek, które zlewają dla niego do okrągłej miski stojącej przy rogu.

Oprócz Maciusia jest drugi kot, Femcia. Jest to bura kocica, piśszczotliwa i przymilna. W paczce w drwalni ma ona legowisko. Opuszcza je rzadko. Bo karmi teraz pięcioro małych, z których jedno jest białe, trzy są czarne, a jedno bure jak matka.

¹⁶sadzić — tu w znaczeniu: biec. [przypis edytorski]

¹⁷wodzić — tu w znaczeniu: prowadzić i opiekować się młodymi pisklętami. [przypis edytorski]

No i powiedzcie sami, czy Dździa mogła się była nudzić na takim ciekawym podwórku?

XXIII

Finek zniósł podróż nadspodziewanie spokojnie. Nie dokuczał nikomu swoim towarzysstwem.

Z dworca aż do domu państwa Witkowskich szedł godnie na smyczy. Dździa spuściła go dopiero w ogrodzie i zamknęła za sobą furtkę.

Przez pierwszy dzień pobytu u ciotki Musi Dździa była zajęta ogrodem i tym, co się działo na podwórzu. Finek był więc zupełnie osamotniony.

Lecz bynajmniej nie brał sobie do serca tego osamotnienia. Był jedynym psem na całym podwórzu, to prawda! Ale tyle dokoła widział nowych rzeczy, ludzi, zwierząt! Wszystko trzeba było przecież poznać, zbadać! Czyż można się było nudzić?

Pierwszego dnia po przyjeździe nie puszczono psa na podwórze. Finek zaznajamiał się więc z ogrodem.

Wpadł w trawę. Wytarzał się. Zobaczył wróbla. Podskoczył za nim. Gdy mu znikł nagle z oczu, usiadł i szczekał raz po raz:

— Wróć! Wróć! Chcę ci się przyjrzeć jak należy!

Nawoływał też i inne ptaki. Nadziwić się nie mógł, skąd się ich tyle bierze! Wytarzał się jeszcze raz na trawniku.

— Rozkosznie! Zawsze będę się tarzać po tym chłodnym, wilgotnym futrze! — zapowiedział sobie.

Wstał, otrząsnął się. Spojrzał na niego.

Zastanowiła go ciemna, brzęcząca kula. Zjawiała się ona na wielkim kwieciu piwonii, to znów znikła. Raz kula ta znalazła się tuż, tuż! Finek kłapnął na nią zębami. Złapał. Ale co rychlej¹⁸ wypluł. I parsknął, biegał po trawniku, trąc nosek o trawę.

Bąk uciął Finka nie na żarty. Nos spuchł mu z jednej strony w olbrzymią górę! Dździa zaniepokoiła się tym bąblem. Wzięła psa na ręce i zaniosiła do ciotki, prosząc o ratunek.

Spuchnięty Finek wyglądał dość zabawnie. Ciotka Musia na widok skancerowanego¹⁹ psiego nosa parsknęła śmiechem.

— A to cię uciął! — śmiała się głaszcząc psa po głowie. — Po coś gonisz osę czy bąka! Nic mu nie będzie! Za godzinę opuchlizna zejdzie! — pocieszała Dździe.

Dździa spojrzała na psa i również się zaśmiała. Bo Finek wesoło i łobuzersko patrzył na swoją panią. Widać było od razu, iż niewiele co robi sobie ze spuchlizny, z bąka, z całego świata!

Wyrwał się Dździci z rąk.

— Mam nos jak bania! To prawda! Ale puśćcie mnie, bo nie mam czasu. Życie jest takie ciekawe! — szczeknął.

I wypadł do ogrodu. Zobaczył, że furtka na podwórze jest niedomknięta. Ostrożnie przesunął się przez szparę. Stanął w podwórzu. I oniemiał!

„Co za zapachy! Co za zapachy! — myślał, a raz po raz podnosił pyszczek do góry i zaciągał się łapczywie. — Świat jest cudowny! Życie jest urocze!” — ucieszył się i ruszył przed siebie.

Zobaczył słup pośrodku podwórza! I zaczął go obiegać. Zrazu wokoło, później w ósemkę. Wreszcie przysiadł, spojrział na słońce i szczeknął. Raz, drugi, trzeci!

Od razu zrobił się rejwach na podwórzu.

Zagdały kury:

— O, a to co? A to co? Co to, co to, co to?

Odpowiedziały im kaczki.

— Strach! Strach! Strach!

A Finek wolniutko, ostrożnie, unosząc wysoko łapki w górę, zbliżał się już do kaczek.

Zatrzymał się przy siatce.

Józio spojrział na psa jednym okiem, spojrział drugim i kwaknął do kaczek:

¹⁸rychlej — szybciej. [przypis edytorski]

¹⁹skancerowany — poraniony. [przypis edytorski]

— Nie bać się! Nie takim dawałem radę! Dalej do zielska! Ja mu zaraz nagadam co należy!

I wolno, ociężale, przewalając się na boki, przytelepał się do kraty.

— Idź precz!! Ty bezskrzydły powsinogo! Nie zbliżaj się, bo cię uszczypnę, zobaczysz!
— kwaknął groźnie kaczor.

Finek wysunął przed siebie opuchnięty nosek. Podsunął się ostrożnie do kraty!

Józio cap go za nos!

Pies odskoczył kilka kroków! I, trzeba to wyznać ze wstydem, naszczekał na Józia tak brzydko, że aż stary Maciuś, który się znał dobrze z psami, otworzył jedno oko, zastrzygł uszami i mruknął:

— Ładnie wychowany ten warszawiak!

Wyciągnął się. Wygiął grzbiet. I zwrócił się w stronę drwalki:

— Femcia! A pilnuj tam dzieci! Pies jest w podwórzu!

Finek to usłyszał. Stał pod drwalką i jeszcze gorzej niż na kaczora naszczekał na Maciusia.

Kot z wysokości daszka patrzył na psa bursztynowymi oczyma. I pomrukiwał:

— Małe to! Od ziemi nie odrosło! A jakie zuchwałe! Będzie tu z nim kłopot, zanim się go moresu²⁰ nauczy!

Finek nagadał głupstw Maciusiowi i zwrócił się w stronę, gdzie gdakały kury.

Drzwi od kurnika były niedomknięte. Jednym skokiem wpadł więc do wnętrza. Nie namyślając się wiele, zaprosił Łysuchę do biegania w ósemkę.

Bielak spojrzał na niego groźnie! Trzepnął skrzydłami!!

— Precz! Co to jest? Co to ma znaczyć? Ja ci tu dam, ty taki, owaki! Oho, ho, ho!
— krzyknął z góry na psa.

I ani się Finek obejrzał, jak już leżał na ziemi! A Bielak kuł go twardym dziobem, gdzie trafił!

— Aaj! Aj! Aj! Co to jest? Boli! Boli! — skowyczał Finek.

— Masz! Masz! — wołał Bielak nie przestając kuć.

A kury przyglądały się rozprawie z psem z wysoko wyciągniętymi szyjami. I dogadywały:

— To, to, to, to! To, to, to, to! Dobrze mu! Tak, tak, tak!

Finek, gdy się tylko mógł poderwać, wyskoczył z kurnika jak oparzony! Odbiegł o kilka kroków. Siadł na ziemi.

Wszystko go bolało! Wylizywał więc starannie obolałe miejsca.

A od czasu do czasu naszczekiwał na koguta! Ale ostrożnie, z daleka! Położył się później na słońcu. I zdrzemnął się rozkosznie, bo dzień był ciepły i słońce przygrzewało uczciwie.

XXIV

Finek się obudził. Spojrzał na kurnik. Postanowił, że całej tej sprawy z kogutem płazem puścić nie może. Przecież taki kogut gotów pomyśleć sobie, że pies dostał lanie i schował do kieszeni.

Nigdy!

Wpaść do kurnika i stłamsić koguta porządnie? Na to Finek nie mógł się odważyć. Zbyt dotkliwie czuł jeszcze uderzenia koguciego dzioba!

Ale trzeba mu nagadać! Powiedzieć, co dobrze wychowany pies myśli o tak gwałtownym i niegrzecznym postępowaniu.

Podskoczył więc Finek do kurnika! Trzymał się wprawdzie w przyzwoitej odległości od wejścia! Ale za to naszczekiwał tak groźnie, jak tylko mógł, przez kratę kogutowi:

— Cham, cham, cham! Nie boję się! Nie! Nie! Nie!

Kogut nie zwracał na te powrzaskiwania Finka uwagi. Grzebnął nogą raz, grzebnął drugi i gdaknął na kury.

— Dość tych gadań po kątach! Do ro-bo-ty! Tak, tak, tak!

Finka zabolala ta zatwardziałość serca koguciego.

²⁰mores (z łac.) — dobre maniery, obyczaje. [przypis edytorski]

„Groch o ścianę! — pomyślał. — Nie ma się co z nim wdawać! Idziemy dalej! Świat jest taki ciekawy! Szkoda czasu!”

Szczeknął ostatni raz na cały kurnik! Wyraził najgłębszą pogardę całemu rodowi kurczemu, bo wytarł szybko tylnymi nóżkami, jakby coś zasypywał za sobą.

— Skończyłem z wami! — oświadczył na zakończenie.

I już sunął ku drzwiom w drwalce, która przytykała do spiżarni. Wszedł. Było ciemno. Finek pociągnął nosem.

— Hm, hm! Co to może być? — zastanawiał się.

Rozejrzał się. Zobaczył, że tuż przy ścianie leży Maciuś, ten stary kocur, którego Finek widział już na podwórzu.

„To tak czuć kota? — pomyślał Finek zdziwiony. — No, żeby też można było używać takiego odrażającego zapachu! Kręci w nosie jak tabaka! I zęby od niego świerzbą!” — Co ty tu robisz, stary? — spytał Maciusia.

— Milcz, smarkaczu! Nie przeszkadzaj! — odmruknął Maciuś. — Jeżeli się odezwiiesz albo poruszyś, dostaniesz ode mnie takiego klapsa, że ci się rodzona babka przypomni!

Finek nie odpowiedział nic na te niegrzeczności, tylko ciekawie rozglądał się dokoła. Upatrywał, na co czatuje stare kocisko.

Nagle dojrzał dziurę w podłodze. Zobaczył małą myszkę. Toczyła się ona jak szara kulka.

Biegała po drwalce. Kołowała. Zmierzała w stronę nory. Wprost w pazury czatującego na nią Maciusia!

— Nie będziesz miał, kocie, tej zabawki! — postanowił Finek. — Mam! Mam! Mam! — szczeknął i skoczył do myszy.

Mysz jednym skokiem dopadła nory!

I przepadła!

Finek osłupiał. Dopiero co była mysz i już jej nie ma! Jakże to się stało?

Przecież był najpewniejszy, że już ją trzymał w zębach!

— Dostaniesz ty ode mnie dobrego klapsa! Nauczę ja cię słuchać starszych! — mruczał gniewnie Maciuś.

Patrzył zjadliwie na Finka i skradał się ku niemu.

— Wcale się ciebie nie boję, ty stara mufko — szczeknął mu w sam nos Finek i wypadł z drwalki na podwórze.

Maciuś wysunął się również z drwalki. Usiadł na słońcu tuż przy progu. Nie spuszczał oczu z Finka, który obskakiwał go, szczekał, przypadał do ziemi, dogadywał przy tym niegrzecznie i nawet zgoła brzydko kotu.

— No i co? No i co? Myślisz, że się ciebie boję? Nie boję się! Nie! Nie! Nie! Ty stara szczotko! Ty łazidachu!

Maciuś ani drgnął. Udawał, że wcale nie słyszy tych psich nagadywań. Patrzył przed siebie. Ale spod oka uważnie śledził skoki Finka.

Zacietrzewiony pies znalazł się nagle tuż przy kocie. Maciuś jednym skokiem dopadł Finka.

Parsknął raz, parsknął drugi. I odskoczył.

Pies poczuł tępy ból w szczękach. Skóra na pyszczku bolała go tak, jakby go kto mocno pokłuł szpilkami.

— Aj! Aj! Aj! Zabił mnie! Zabił! — zaskomlił boleśnie i z podwiniętym ogonem uciekał co sił. Nawet nie obejrzał się za siebie.

— A widzisz? — mruknął za nim Maciuś. — Nauczysz się szanować starszych! Pomamiętasz ty mnie, nie bój się!

I jakby nigdy nic usiadł, owinął się ogonkiem. Naślinił mocno prawą przednią łapkę. Zaczął się wycierać po uszach, po pyszczku.

— Ciepło! Dobrze! Słońce świeci! Umyjemy się, a potem spać! — pomrukiwał do siebie.

I skończywszy z głową, zabrał się do mycia boków i puszystego ogona.

XXV

W kilka dni potem Finek znalazł się znów na podwórzu.

Dopiero co zjadł obiad. Wylizal wszystkie wyborne przysmażanki, jakie dostał w kuchni. Był najedzony tak, że brzusek wypęczniał mu jak bania. Czuł się nieco ociężały i rozkosznie senny. Oczy same mu się przymykały.

Dowlókl się do płotu. Leżała tam kupa piasku. Wygrzebał sobie dołek. Rozłożył się w samym słońcu. I drzemiąc, przyglądał się jednym okiem Maciusiowi. Kot leżał jak zwykle na daszku drwalki.

Finek rozmyślał nad tym, że nawet z takim czarnym diabłem dał sobie radę! I że się nie boi kota! Że w ogóle nie boi się niczego! Nawet tego krzykacza Bielaka! Że pobyt tu jest cudowny! Że jest o wiele miłszy niż mieszkanie w Warszawie! Dlaczego? No, choćby dlatego, że nareszcie nie ma tu Katarzyny!

Na wspomnienie Katarzyny Finek się wstrząsnął. Podniósł się, okręcił w kółko i znów położył się w piasek. Ale tym razem głowę umieścił tak, by słońce nie prażyło go wprost w oczy. I usnął.

Obudził go brzęk miski. Otworzył więc jedno oko. Rozejrzał się. Nie zobaczył nic ciekawego.

„Zapewne mi się coś przysniło” — pomyślał, bo wiedział dobrze, że już było po obiedzie i że naczynia dawno są pozmywane.

Po kilku chwilach Finek usłyszał coś niby skrzypnięcie drzwi od kuchni i wyraźny głos:

— Kici! Kici! Femcia! Fe-e-emcia! Pójdź ino tu! Pójdź!

Więc to nie był sen!

Finek usiadł. Odrzucił lewe ucho! Nasłuchuje.

Usłyszał miauknięcie! Jedno, drugie, trzecie! Trzy czarne kociaki chyłkiem śpieszyły do miski!

Siadły rządkiem. I ostrożnie obwąchiwały jadło, zanim zabrały się do jedzenia.

„Nie, to już psie pojęcie przechodzi! Karcić takie paskudztwo? A do tego z miski? Może to moja miska w dodatku?” — zaniepokoił się Finek.

Zerwał się. Zakręcił kitę ogona w urzędowy obarzan i podreptał poważnie ku misce.

— Precz! Precz! — warknął groźnie do kociąt.

Tak sobie, na wszelki wypadek. Boć przecie nie wiedział, co było w kociej misce.

— Pst, pst, nie tak gwałtownie! — odmruknęły mu ostro kociaki.

Nastawiły grzbiety w pałak. Wyprostowały ogony jak kity.

— Pfuj, pfuj! Pst! Idź sobie! — parskały i pluły Finkowi w oczy.

— Co? Plujecie? — oburzył się Finek. — No, to widać, że wam nie smakuje to, co macie w misce! Precz stąd! Precz, powiadam! Prrrrecz! — zawarczał jeszcze groźniej i pokazał kociakom zęby. Kocięta w nogi!

A Finek obwąchał miskę, zajrzał do środka, liznął.

„Bardzo dobre! Zupelnie dobre! — stwierdził. — To głupie stworzenie taki kot! Jak to wybredza! I po co to karcić takie paskudztwa?” — pomyślał i zaczął pałaszować z apetytem kocie jadło.

XXVI

Finek wyjadł wszystko po porządku, starannie. Nie zostawił po sobie nawet odrobiny.

Kocięta ustawiły się rządkiem niedaleko od psa. Patrzyły wytrzeszczonymi ze strachu oczyma na Finka, który używał sobie, jak chciał, w ich misce. Były głodne, zawiedzione, smutne. Piszczaly też boleśnie i zawodziły z całej ukrzywdzonej kociej duszy.

Nagle zza węgła ukazała się Femcia. Spozrzęła Finka bobrującego w kociej misce. Nasrożyła się. Nastawiła sierść na karku jak szczotkę. I skradała się wolno ku psiakowi.

Finek jadł, ale nie spuszczał oczu z kociicy.

I nagle jak warknie, jak szczeknie, jak skoczy do Femci! Zanim się kocica spozrzęła, już ją chwycił zębami za bok i szarpnął boleśnie za futro!

Femcia uskoczyła. Wyrwała się. Finek wrócił do miski. A kocica pobiegła w te pędy do Maciusia.

— Maciuś! Słuchaj, Maciuś! Ten pies! — zaczęła boleściwie.

— Co się stało? — zapytał kocur.

Otworzył przy tym jedno oko i spoglądał pytająco na Femcię z dachu drwalki.

Kot, Pies

— Ten mały psiak wystraszył mi dzieci! Odpędził je od miski! Ugryzł mnie w bok! Ugryzł mnie, mnie, mnie! — biadała.

— Gdzie on jest? — pyta Maciuś.

— Przy misce — powiada Femcia.

— Co robi?

— Wyjada wszystko.

— Będzie on za swoje miał, miał, miał! — zawołał Maciuś, zeskoczył z drwalki i jednym skokiem stanął przy misce.

— Precz, precz, precz! Pfuj, pfuj! — parsknął na Finka.

I jak trzepnie go po boku raz, drugi, trzeci!

Psu jasne świece w oczach stanęły. A Katarzyna przypomniała mu się jak żywa.

Odskoczył o kilka kroków. I jak wrzaśnie:

— Ty stary rękawie futrzany! Ty wycierusie! Myślisz, że się ciebie boję? Wcale się nie boję! Ani trochę! Może ci się zdaje, że mnie boli? Wcale mnie nie boli! Tylko ty jeszcze raz ze mną zacznij, to ja ci dam, dam, dam! Kominiarz!

Maciuś nie zwracał zupełnie uwagi na Finkowe szczekanie. Wysunął się nieco z cienia. I położył na słońcu.

Tylko oczu nie spuszczał z psiaka, który naszczekał się do woli, zamilkł i wolno, truchcikiem biegł do ogrodu.

Już stanął w furtce. Ale obrócił się jeszcze raz do Maciusia. Szczeknął:

— Cham! — i skrobął kilka razy z pasją tylnymi nogami. — Zasypałem cię! Już cię nie ma! Ty wycieruchu drwalkowy!

I poszedł do ogrodu.

Tak cudownie polatywały tam ptaki! Brzęczały osy i bąki! Podrygiwały żaby nad sadzawką!

Był to rozkoszny świat pełen tajemnic! I co najważniejsze, nie było tam Maciusia, ordynarnego klapsiarza!

XXVII

Przez kilka dni padał deszcz.

Finek nie wychodził prawie z domu. Całe dnie spędzał na werandzie. Wylegiwał się tam na słomiance.

Był znudzony do ostateczności! Kłapał zębami na muchy i opędzał się pchłom, które go gryzły bez miłosierdzia!

— Najgorsze w psim życiu jest to nieznośne swędzenie! — skarżył się jękliwie sam przed sobą.

I postanowił zabrać się ostro do pcheł.

Usiadł. Zapusił zęby w sierść na brzuchu. Przebierał każdy włoszek z osobna.

Splószone pchły uciekały coraz wyżej. Aż zebrały się wszystkie pod brodą. Przypięły się one tak mocno do psiej skóry na szyi, że Finek podskoczył do góry. Siadł. Wyciągnął tylną nogę, jak mógł najdalej. I samym końcem pazurków zaczął się czochrać pod brodą. A bił przy tym kolaniem o ziemię tak, aż dudniło.

Już mu się zdawało, że się uporał nareszcie z nagłym pchlim atakiem. Odetchnął więc i odsapnął głęboko. Aż tu nagle uczuł straszne świerzbiecie na samym krzyżu. Okręcił się, wyszczerzył zęby, wygiął, zachwiał i runął na ziemię.

Wstał. Zatoczył kółko w miejscu. I od nowa rozpoczął karkołomne sztuki. Chciał za jakąkolwiek cenę chwycić zębami sierść na krzyżu.

Jęczał, jazgotał, skowyczał z natężenia i złości! Kręcił się w kółko! Podskakiwał!

Ciocia Musia spostrzegła tę Finkową gimnastykę.

— Dzidziu, trzeba Finka wykąpać! — powiedziała.

Jak kąpać, to kąpać!

Zagrzano więc wody. Część nalano do ceberka, częścią zaś napełniono polewaczkę ogrodową.

Ciocia Musia położyła obok ceberka mydło i starą szczotkę do czyszczenia ubrania.

Gdy już wszystko było przygotowane, zawołano Finka.

Wszedł do pralni. Rozejrzał się. Zobaczył ceberek.

„Pi, pi, pi! To mi dopiero! Cały ceber smaczności!” — pomyślał z uciechą.

Odbił się od ziemi. I równymi nogami wskoczył na stół, na którym stała balijka.

Spostrzegł, że w cebrze jest tylko woda. I to ciepła woda! Stracił więc nieco na humorze. A gdy na karku poczuł rękę cioci Musi, gdy przekonał się, że jedzie do góry, opada, stoi w wodzie, Finek wrzasnął jak opętany:

— Nie chcę tego! Nie chcę!

I szarpnął się z całych sił!

Nikt jednak nic sobie nie robił z tych psich humorów! Ciocia trzymała Finka mocno. A Dzidzia nacierała go mydłem i myła szczotką!

— Ojej, co to jest? Nie chcę! Nie chcę! — wrzeszczał rozpaczliwie. — Puśćcie! Szczypie! Szczypie! Oj! Moje oczy! Aj, aj, aj!

Zlany pianą wyglądał Finek jak jagnię. Dożywał nawet z siebie smętne baranie tony! Bo ze strachu zapomniał nawet, jak przyzwoity pies się odzywa!

Przycichł nieco, ale dopiero wtenczas, kiedy ciocia Musia zaczęła polewać go ciepłą wodą z polewaczki.

Wtedy otworzył oczy. Spojrzał przytomniej. Ale bynajmniej nie przestał płakać i zawodzić. Zobaczył, że Dzidzię wzruszyły jego jęki. Widział też dobrze, że miała ona lzy w oczach.

— Oj, jak boli! — zapłakał więc rzewnie Finek. — Oj, jak boli. Oj, jak mnie szczypie! Ludzie, co wy ze mną robicie? Aj, aj, aj! Jaki ja jestem nieszczęśliwy! — skarżył się najboleściwiej, jak potrafił.

Jęczał, gdy go płukano! Zawodził, gdy go wyjęto z wody i postawiono na ręczniku! Skowyczał cicho, ale wcale nie mniej boleśnie, gdy ciocia Musia go wycierała! Skarżył się ławo i trząsał ze zdenerwowania, gdy wreszcie zawinięto go w suche prześcieradło i położono na jego własnym posłaniu w przedpokoju!

Dzidzia przyniosła mu na pociechę kawałek cukru. Liznął ją po rękę.

— Jaki ja jestem zdenerwowany! — jęknął. — Ojej, jaki niemożliwie jestem zdenerwowany! Już nigdy nie będę się wspinał do cebra z ciepłą wodą, nigdy! Ojej, panienko, nigdy! — zaklinał się.

Jednak raczył schrupać cukier. I nawet ze smakiem. Postękiwał też coraz ciszej, ciszej...

Aż wreszcie zasnął.

XXVIII

Obudził się. Usiadł. Pociągnął nosem.

— Nie! To nie do wytrzymania! Coś strasznego, jak tu czuć obrzydliwie! To na pewno ta biała piana, którą ludzie dolewają do wody! Br! — otrząsnął się i kichnął raz i drugi.

— Uciekajmy stąd! Phy! A psik! A cóż to za zapach wstrętny i mdły!

Zrzucił z siebie prześcieradło. Obszedł kilka kroków. Wstrząsnął się.

— Jakiś dziwny wiatr chodzi mi po skórze! Br! Jak mi zimno!

Ziewnął. Przeciągnął się naprzód, w tył. Przeciągał też każdą z osobna tylną nogę. Obejrzał się na siebie.

— To nie do wytrzymania! Cała skóra mnie swędzi!

Usiadł. Chciał się polizać w miejsce, gdzie czuł najsilniejsze świerzbiecie. Lecz zaledwie dotknął siebie nosem, kichnął potężnie.

— Co oni ze mną zrobili? Toć mnie już wcale nie czuć psem! Pachnę jak bielizna na strychu! Czy ja jestem psem, czy też świeżo wypraną koszulę? Tak mnie ładnie uperfumowali, że gotów bym z własnej skóry wyskoczyć, byle uciec od samego siebie — wyrzekał.

Wysunął łeb jak najdalej przed siebie i biegł szybko ku drzwiom. Starł się o ile możliwości nie czuć odrażającego zapachu mydła, jaki wydawało jego ciało.

Wypadł do ogrodu. Trafiał na kałużę.

„Umyjmy się po tej łaźni!” — przyszło mu na myśl.

Wlaził wolno w sam środek kałuży. Powąchał wodę.

— No, ta przynajmniej jest czysta! Nie czuć jej mydłem! — stwierdził z uciechą.

I od razu przewrócił się na wznak. Wytarzał się na grzbiecie! Przewrócił się na prawy bok! Później na lewy! Położył się na brzuchu! Przeczolgał się wzdłuż kałuży! A parskał przy tym, prychał, rozrzuczał błoto dokoła!

Pociągnął nosem.

— No, jakoś już znośniej pachniemy! Ale hm, jeszcze tamto czuć! Dalej, jeszcze raz, do wody!

Znów położył się na brzuchu. Orał nosem w lepkim błocie. Rozpryskiwał je na kark. Przewrócił się na wznak. Tarzał się z boku na bok. Wreszcie wstał i zaciągnął się zapachem.

— No, nareszcie! Znów czuć mnie wiatrem i błotem jak każdego szanującego się psa! Wykąpaliśmy się wybornie. Jaka to przyjemna rzecz, kąpiel! I jaka ożywcza! Dawno się tak dobrze nie czułem! A psik! — kichnął. — Trochę mi zimno! Trzeba się rozgrzać! — postanowił. I puścił się w ósemkę po grządkach i klombach. Najpierw w prawo, później w lewo. A nasturcje, bratki, piwonie, rezedra aż fruwały w powietrzu!

Finek zmęczony wreszcie bieganiem. Rzucił się więc na piękną rabatkę maciejki. Wytarzał się w niej rozkosznie. Wstał i poszedł na klomb nasturcji.

Maciejka była, rozumie się, stratowana tak, jakby jej na klombie nigdy nie było! I nasturcja tak samo! To jasne!

XXIX

Po kąpeli, wybieganiu się i wytarzaniu o klomby Finek nie rozgrzał się jeszcze należycie. Było mu zimno. Tym bardziej że deszcz zaczął padać. Wrócił więc do domu. Po drodze przemyślał nad tym, jak by się tu osuszyć i rozgrzać.

Przypomniało mu się, że suche prześcieradło po tamtej, brr, jak obrzydliwej kąpeli zrobiło mu dobrze, zupełnie dobrze. Ale skąd tu wziąć prześcieradło?

Wszedł na werandę. Obejrzał się. Nie ma nic takiego, co przypominałoby nawet prześcieradło. Przeszedł przez pokój jadalny. Obejrzał dokładnie wszystkie kąty. Wytarł sobie nieco grzbiet o kanapę. Ale prześcieradła nie znalazł.

Przejechał się na karku po dywanie raz i drugi. Otarł się o wszystkie krzesła i fotele.

„No, trochem²¹ się jednak osuszył!” — pomyślał, zobaczywszy błotniste smugi na jasnym dywanie i świeżych pokrowcach na meblach.

I poszedł dalej. W korytarzu przetarł boki o palta. Wytarł się o jasny płaszcz cioci. Wszedł do sypialni.

Spojrzał na łóżko. Było zasłane białą kapą.

— No, nareszcie! — powiedział sobie i równymi nogami skoczył na kapę. — Zupełnie takie samo jak to, w które mnie przedtem zawinęli!

Najpierw wytarł o poduszki boki. Później przejechał się na brzuchu po kapie. Wsadził głowę między poduszki i stał do sucha całe błoto, które miał na pyszczku, na uszach. Jeszcze raz dał szczupaka po kapie.

— Cudownie! Rozkosznie! — powarkiwiał zadowolony.

Wpadł w szal radości, że przecież znalazł to, czego szukał. Rzucił się po łóżku, parskał, a przymrukiwał najrozkoszniej!

Szarpnął jedną poduszkę. Zrzucił ją na ziemię. Położył się na drugiej, jeszcze suchej. Wywracał na niej łobuzerskie koziołki, aż z rozdartej poszwy strzelały na pokój całe fontanny puchu!

Wreszcie się uspokoił. Wydeptał sobie pośrodku łóżka głębokie legowisko. Schwycił w zęby jeden róg kapy. Naciągnął ją na siebie. Przykrył się. Układając się do snu myślał:

„Jednak trzeba przyznać, że ludzie miewają nieraz bardzo dobre pomysły! Dopiero moja panienska się ucieszy! Przekona się, że i ja umiem zachować się po kąpeli jak należy!”

I zmęczony zasnął.

Miał tak cudowne sny jak nigdy! Śniło mu się, że jadł same kości. Że zabrał olbrzymią, tak wielką jak słup na środku podwórza, kość Maciusiowi! Kot przed nim ucieka, ledwo nóg nie pogubi. A Finek już zagrzebał kość w klombie róż. Goni Maciusia. I szczeka. Cham! Cham! Cham!

²¹trochem się osuszył — trochę się osuszyłem (dawna konstrukcja z ruchomą końcówką czasownika). [przypis edytorski]

„Finek szczeka w sypialni. Co on tam robi?” — pomyślała ciocia Musia, bo usłyszała naszczekiwanie Finka.

Weszła. Spojrzała na łóżko. Odchyliła kapę.

Finek wstał, ziewnął, merdnął wesoło ogonem.

— A, to ty? A widzisz, jak się ładnie osuszyłem po kąpieli? Podobam ci się, co? — spytał ciocię Musię bardzo z siebie rad.

XXX

Już się miało pod koniec wakacji. Dzidzia była smutna. Trapiła ją myśl o powrocie do Warszawy.

Finek nie myślał o niczym takim, o czym myślą ludzie, więc się nie martwił.

Zmęniał on podczas lata, wyrósł, stał się prawie dorosłym psem. Przestał już sypiać na poduszce. Najchętniej przespiał noce na werandzie.

Pewnej nocy Finek zasnął na wycieracze na werandzie, jak zwykle. Obudził go jakiś podejrzany szelest. Spojrzył. Człowiek ten skradał się do okna, a okno to było otwarte.

— Kto otworzył okno? — zdziwił się pies.

Bo Finek widział, że zawsze przed pójściem spać ciocia Musia zamykała starannie wszystkie okna w domu.

Szybko, jak mógł najciszej, przyczołgał się do obcego człowieka. Postawił on na ziemi walizkę trzymaną w ręku. I jakieś przedmioty zapychał sobie za ubranie. Finek pociągnął nosem. Pochwył zapach człowieka, walizki i rzeczy.

— Walizka jest nasza. Pachnie moją panienką. Rzeczy są nasze. Pachną naszym pokojem jadalnym. A człowiek jest obcy i czuć go obrzydliwie — powiedział sobie.

Obcy ujął za walizkę, przelożył nogę przez okno i chciał wyjść. Finek chwycił go z całej siły zębami tuż przy kostce tak silnie, jak tylko mógł.

Obcy człowiek krzyknął, puścił walizkę i ucieka.

— Na pomoc! Łapaj! Łapaj! — szczeknął Finek.

I jednym skokiem przesadził²² okno. Dopadł do uciekającego, skoczył, chwycił, przeciął zębami sukno i zawisł u ciała.

Obcy człowiek targnął się, szarpnął. Chciał uwolnić się od psa. Spod marynarki wysypało mu się wtedy wszystko, co zabrał.

Szczekanie Finka zbudziło cały dom. Wszyscy zerwali się z łóżek! Wpadli na werandę!

Spostrzeżono porzuconą walizkę, otwarte okno, rozsypane na podłodze srebro z kredensu.

Ale Finka nigdzie nie było!

— Co to za dzielne, kochane psię, ten Finek! Gdyby nie on, złodziej zabrałby nam najcenniejsze rzeczy. Ale gdzie on jest? Finek! Finek! Finek! — wołała ciocia, za nią Dzidzia i jej mama.

Szukano psa wszędzie. Po całym ogrodzie.

I znaleziono go w krzaku jaśminu, niedaleko parkanu.

Był zemdlony.

Ciocia Musia wzięła Finka na ręce. Zniosła go do domu. Zlano psu głowę wodą. Ocknął się.

Westchnął. Ziewnął przeciągle. Wstał. Spojrzył na wszystkich i merdnął wesoło ogonem.

— Kopnął mnie ten obcy człowiek. Nic dziwnego, że zemdląłem! Ale dałem mu bobu! Będzie pamiętał na drugi raz, że się w nocy nie przychodzi przez okno do cudzego mieszkania. Prawda? — oświadczył bardzo zadowolony z siebie.

I po raz pierwszy w życiu Finka tak się zdarzyło, że nie tylko on sam z siebie, ale wszyscy byli z niego zadowoleni!

Ciocia Musia zawsze bardzo lubiła Finka. Teraz pokochała go jeszcze więcej²³ za jego odwagę i poświęcenie. Wiedziała ona, jak trudno było z Finkiem dać sobie radę w mieście. Zaproponowała więc Dzidzi, żeby piesek został u niej na stałe.

²²przesadzić — tu w znaczeniu: przeskoczyć. [przypis edytorski]

²³pokochała go jeszcze więcej — dziś raczej: pokochała go jeszcze bardziej. [przypis edytorski]

— Będzie miał tu większą swobodę — mówiła. — A że nikt go nie skrzywdzi, to się samo przez się rozumie! Dwidziu, będziesz mogła widywać się z Finkiem na każde święta i wakacje. Zapraszam cię do siebie najserdeczniej!

Pani Rosochacka zgodziła się na projekt cioci Musi. Przyrzekła ze swej strony, że pozwoli Dwidzi bywać u cioci na każde święta.

Dziewczynce żal było, co prawda, rozstawać się z Finkiem! Kochała jednak serdecznie ciocię Musię. A i pobyt na każde święta u cioci, gdzie mogła zobaczyć Finka, miał też swoje dobre, bardzo dobre strony!

Zresztą Dwidzia była pewna, że Finkowi będzie lepiej u cioci Musi. Bo w małym mieszkaniu, w wielkiej i ludnej kamienicy, położonej w jeszcze większej i ludniejszej Warszawie, Finek na pewno czułby się gorzej. Nie mógłby się ani wybiegać, ani nadokazywać, prawda?

Więc Finek został u cioci Musi. I w kilka dni później przeniósł się z werandy do własnego mieszkania. Dostał budę porządną, przestronną, pięknie malowaną na zielono.

Odtąd był psem dorosłym.

I gdyby w psim świecie panowały te same zwyczaje, co u ludzi, powinien się być od tej chwili nazywać nie „Finek”, lecz „Fin”, jeżeli nawet nie „pan Fin”!

„Pan Fin” stał się dzielnym, miłym, rozsądnym psem. Był on odtąd przyjacielem i opiekunem całego domu. Musiał się z nim liczyć każdy, kto zbliżał się do tych, których on, Finek, pokochał i którymi się opiekuje!

Taki to był Finek!

Dorosłość, Przyjaźń, Pies

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/grabowski-finek>

Tekst opracowany na podstawie: Jan Grabowski, Finek, il. B. Dutkowska, Nasza Księgarnia, Warszawa 1972.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Aleksandra Sekuła, Ilona Kalamon, Paulina Choromańska.

ISBN 978-83-288-6293-7

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.